

**PRZE
KROJ**



Na licznych jeziorach młodzi nasi żeglarze zaprawiają się w rzemiosło morskim (patrz felieton na str. 10)

**CZY
TEL
NIK**

MIECZYŚLAW WIONCZEK:

DOLINA RZEKI UJARZMIONEJ

**K. I. GAŁCZYŃSKI • K. KOŹNIEWSKI • K. ILLAKOWICZÓWNA
I. MINKIEWICZ • S. GRODZIENSKA • J. WALDORFF**

Nr 124
3 VIII - 9 VIII 1947
CENA 25 ZŁ

PRINTED IN POLAND

PRZE- KRÓJ

tygodnia

Pierwsze polskie traktory zostały już oddane do użytku. Minister Przemysłu przekazał Ministrowi Rolnictwa i Reform Rolnych 30 traktorów marki „Ursus”, wyprodukowanych w Państwowych Zakładach Inżynierii. Na zdjęciu po prawej: Premier Cyrankiewicz i Min. Minc odbywają przegląd nowych traktorów na Placu Zwycięstwa w Warszawie. (Fot. Film Polski)



W ROCZNICĘ ZDOBYCIA BASTYLII



14 lipca, w dniu święta narodowego Francji, ambasador R. P. w Paryżu Jerzy Putrament złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza. Na zdjęciu: ambasador Putrament (w czarnym garniturze) przechodzi przed frontem francuskiej kompanii honorowej, ustawionej przed Łukiem Triumfalnym w Paryżu



Jury nagrody literackiej „Odrodzenia” przyznało jednogłośnie tegoroczną nagrodę znakomitemu pisarzowi Jarosławowi Iwaszkiewiczowi za tom opowiadań „Nowa miłość” i „Nowele włoskie”. Na zdjęciu: laureat przemawia do mikrofonu podczas uroczystego obiadu, wydanego w redakcji „Odrodzenia”. Przy stole członkowie jury; siedzą od lewej: Anna Kowalska, prof. Stanisław Pigoń i Maria Dąbrowska. (Fot. SAP)

UROKI KOMUNIKACJI



Podróżowanie staje się z każdym dniem coraz bardziej przyjemne. Kursujące już na naszych liniach lotniczych zakupione we Francji 4-ro motorowe samoloty typu „Languedoc” (u góry) przebywają trasę Warszawa—Paryż w ciągu 3 i pół godzin, dając pasażerów wszelkimi możliwymi wygodami. Pochwała należy się również jednemu 60-osobowym autobusom francuskim marki „Chausson”, którymi zawiadnęły Miejskie Zakłady Komunikacyjne w Warszawie. (Fot. Film Polski)

NA WYBRZEŻU



Odremonowany ostatnio w słocznym gdańskiej MS Pulaski, doznał uszkodzenia steru w czasie wyjścia z portu w swą pierwszą podróż do N. Jorku. Statek musiał na kilka tygodni powrócić do doku. — W Uście odbyła się uroczystość zaprzysiężenia rekrutów polskiej marynarki wojennej. Po lewej: nowoformowane bataliony morskie wysłuchują mszy polowej. (Fot. Iwa)

Trzej czescy studenci postanowili poznać nasz kraj nie tylko z okien wagonów czy autobusów i dlatego wybrali się w wędrowkę po Polsce piechotą. Jeden z nich jest sparaliżowany i porusza się przy pomocy specjalnego roweru. Na zdjęciu: sympatyczni goście zwiedzają Warszawę. (Fot. Ag. Ilustracyjna)



POSEŁ BULGARII W KRAKOWIE



Posel Bulgarii min. Tagarov bawił w ciągu kilku dni w Krakowie, gdzie wziął m. in. udział w otwarciu wystawy prac ucznia Matejki, bułgarskiego malarza Christo B. Kulewa, zmarłego w Polsce w 1943 r. Na zdjęciu min. Tagarov rozmawia w Pałacu Sztuki z członkami krak. Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej

MIECZYSŁAW WIONCZEK

DOLINA RZEKI UJARZMIONEJ

OD WŁASNEGO KORESPONDENTA
COPYRIGHT BY „PRZEKRÓJ”

Knoxville, Tennessee, w czerwcu

Od początku świata aż do ostatnich czasów mieszkańcy doliny Tennessee, równej wielkością Anglii, a leżącej między górami Smoky Mountains i Mississippi, byli źle bardzo wyposażeni w walce z żywiołem wody, panującym nad tym rejonem. W tym kraju nieustannej pory deszczowej rozliczne dopływy rzeki Tennessee, biorące początek w Smoky Mountains, wielokrotnie w ciągu roku pęczniały niebezpiecznie wodą. Jej miliony ton niosła Tennessee parusetmilowym łukiem do dopływu Mississippi — Ohio, który przekazywał je z kolei Mississippi. Na skutek tej gigantycznej sztafety wodnej, do delty Mississippi pod New Orleans nadpływały co kilkanaście tygodni kępy drzew, trupy bydła i ptaków, szczątki domów i stodoł, a nierazko i topielcy z całego dorzecza Mississippi. A że natura pracuje bez wytchnienia, kiedy na owych przedmiotach osiadały pierwsze morskie wodorosty, Smoky Mountains znowu dymili chmurami, a dopływy Tennessee i ona sama pęczniały wodą na nowo na zgubę farmerom.

Góry, u których podnóża leży miasto Knoxville, biegną łukosem z północnego wschodu na południowy zachód i wytyczają granice między stanami North Carolina i Tennessee. Nazywają się Smoky Mountains czyli Góry Zadymione, ponieważ chmury siedzą na ich szczytach przez trzysta dni w roku. Ich sława pochodzi stąd, że są najwyższymi górami między Atlantykiem i rzeką Mississippi i że mają największą ilość opadów na wschodzie USA. Wschód jest zresztą w tym wypadku pojęciem czysto geograficznym. W rzeczywistości bowiem Smoky Mountains North Carolina i dolina Tennessee stanowią część składową Południa USA, kraju bawelniny i magnolii, a także kraju nędzy białych i czarnych, o którym poza Ameryką wie się tylko z lektury „Chaty wuja Toma” i „Przemiętło z wiatrem”.

Dolina Tennessee nie miała do roku 1933 sławy krajny mlekiem i miodem płynącej. W czasach, kiedy nie miała żadnych sprzymierzeńców w walce z deszczami i rzekami, wyglądała — twierdzi się powszechnie w Knoxville — podobnie jak wygląda dzisiaj kraj na wschód od gór — North Carolina. Przejeżdżałem przezeń przed kilku dniami. Nie jest to Ameryka zasobnych i zmechanizowanych osiedli farmerskich i zamożnych i czystych miasteczek Wschodu i Północy. Jest zato raczej znacznie bliższy mimo egzotyki południowej roślinności i południowego słońca biednej wsi polskiej czy bułgarskiej niż okolicom Nowego Jorku czy Wielkich Jezior.

Gorską nędzę North Carolina i całego dziś — poza doliną Tennessee — Południa USA znaczą ubogie, drewniane domostwa, koślawe parkany, okalające nędzne pola kukurydzy i tytoniu i dychawiczne konie, ciągnące pługi i brony, znane na Północy tylko z relacji emigrantów z Europy. Owa gorzka nędza nie jest wyłącznym udziałem murzyńskiego dzierżawcy czy robotnika rolnego. Jest udziałem większości ludności bez różnicy koloru skóry i jest to po prostu nędza nieuprzemysłowionego, prymitywnego technicznie kraju, którego jedyne bogactwo, ziemia, niszczona jest od kilku pokoleń kolonialną gospodarką wielkich właścicieli i zacofanymi metodami pracy drobnych farmerów.

Tak jak żyje dzisiaj biały i czarny farmer Georgii, Alabamy i Louisiany, żyli do niedawna farmerzy doliny Tennessee. Choć ziemia ich gospodarstw była pierwotnie urodzajniejsza od ziemi na wschód i południe od gór, ich przeciwnikiem obok prymitywizmu gospodarki było owe kilkadziesiąt

calów wody, spadających corocznie z zachmurzonego nieba między Smoky Mountains i Mississippi. Deszcze w dolinie Tennessee, gwałtowne i długotrwałe, nie tylko bowiem powodowały wylew rzek, nie tylko łamały kukurydzy i obrywały liście z tytoniu, ale — co najważniejsza, rozmywały glebę do dna, porywając ją ku rzekom. Było się wobec nich tak bezbronny, jak bezbronni są w walce z naturą chłopcy chińscy nad Jan-tse-kiang i hinduscy nad Gangesem.

MAGICZNE LITERY

Od trzynastu lat nie ma powodzi w dolinie Tennessee, choć właśnie wczoraj „Knoxville News” donosił o nowej powodzi w dolnym biegu Mississippi. W ciągu ostatnich trzynastu lat pełne odkrywających skałę głębokich brzd, pola w dolinach i na wzgórzach całego dorzecza Tennessee przywrócono do stanu, pozwalającego na

takie same zbiory, jakie były udziałem pierwszych osadników przed Jerzym Waszyngtonem. W ciągu tego okresu czasu dolina Tennessee stała się zasobnym krajem nie tylko dziesiątków tysięcy wyposażonych w maszyny rolnicze i elektryczność farm, ale i wszelkiego przemysłu, nieznanego Południu poza tym.

Przejechawszy ją wzdłuż i wszerz nie znalazłem w niej koślawych parkanów i zapadających się pod ziemię domostw, powszechnych w North Carolina po drugiej stronie gór. Spotkałem zato nieznaną w North Carolina, Georgii i Louisianie niezliczone ilości betonowych słupów z setkami mil przewodów wysokiego napięcia, spławne i pełne ryb, wślesmilowej długości, sztuczne jeziora i liczne szylty i napisy, w których powtarzały się niezmiennie te same trzy litery TVA.

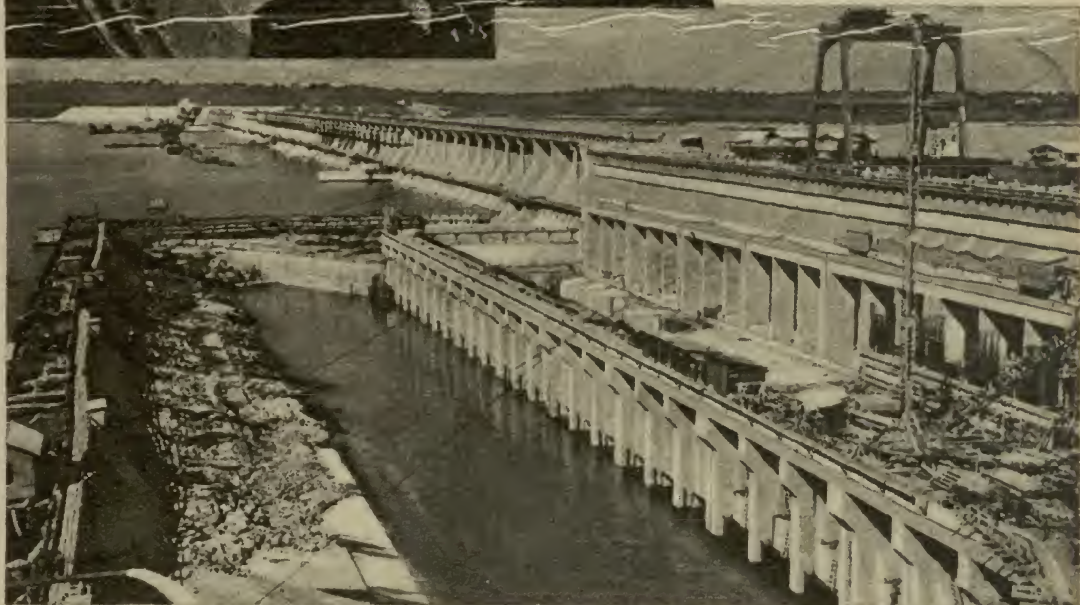
TVA — skrót nazwy angielskiej Tennessee Valley Authority, Zarząd Doliny Tennessee, jest symbolem gigantycznego eksperymentu technicznego w rejonie rzeki Tennessee, zapoczątkowanego w najbardziej rewolucyjnym okresie New Dealu, w pierwszych miesiącach ery rooseveltońskiej (Anno Domini 1933), który zrealizowany dzięki entuzjazmowi jego inicjatorów i sprzyjającym okolicznościom jest zjawiskiem znacznie bardziej dobroczynnym w skutkach i znacznie bardziej pouczającym, niż niewątpliwie spodziewali się jego twórcy. TVA jest — dowiedzieć się tego można z setek książek i broszur napisanych na ten temat — jedyną w amerykańskim świecie inicjatywy prywatnej —

gigantyczną państwową imprezą, powołaną do życia przez Kongres USA w najciężniejszych dotąd dla kapitalizmu amerykańskiego czasach wielkiej depresji gospodarczej. Nakreślono jej następujące zadania: kontrola powodzi na rzece Tennessee i jej dopływach, usławnienie rzeki, produkcja powstałej w związku z tym energii elektrycznej, rozwój nowej techniki rolniczej w całej dolinie Tennessee i podniesienie poziomu ekonomicznego owego regionu.

Każdy, znający choćby powierzchownie istniejące w Ameryce wzory gospodarcze, społeczne i obyczajowe, zorientuje się natychmiast, że TVA jest czymś zupełnie niezwykłym. Nie byłoby jej niewątpliwie, gdyby nie wielka depresja, w czasie której wielkie monopole, decydujące o życiu gospodarczym tego kraju, rzeczywistocie straciły do tego stopnia głowę, że pozwoliły na ów eksperyment, przemycany przez wszystkie instancje waszyngtońskie jako pewnego rodzaju forma wielkich robót publicznych, jednego z skutecznych środków walki z kryzysem. Po tym, kiedy big business ochłonął z przejęciaowego zamroczenia i zdał sobie sprawę z społecznych i psychologicznych produktów imprezy, takiej jak TVA, rozpoczął z nią nieubłagana walkę. TVA miała jednak odrobinę szczęścia i argumenty w postaci produkowanej energii elektrycznej. Kiedy w roku 1939 gospodarka amerykańska rozpoczęła przygotowywać się do wojny, krucjata przeciw TVA nie miała żadnych szans powodzenia wobec zapotrzebowania na ową energię. Dziś TVA jest już wykonanym i dojrzałym tworem, jedyną wyspą inicjatywy państwowej i państwowej planowania w jeziorze anachistycznej gospodarki prywatnej całych USA. Co gorzej, jest rozsądnym „niezdrowym” ideałem spółdzielczym, i to bodajże jest głównym powodem toczonej przeciwko niej na każdym froncie walki.



Obwiedziony białą kreską na mapie Stanów Zjedn. obszar 106.000 km², którego bogactwa naturalne eksploatuje TVA



Jedna z największych spośród 29 tam na rzece Tennessee — w pobliżu miasta Knoxville

12 MILIARDÓW KILOWATGODZIN

TVA należy do tego rodzaju zjawisk czy wydarzeń, które przez swe rozmiary z trudem poddają się słownemu opisowi. TVA jak Dnieprostroj czy New York znacznie łatwiej wyrazić w cyfrach i porównaniach ze znanymi wielkościami.

Dolina rzeki Tennessee — jak poucza się na wstępie każdego przybysza do TVA (zwidziło ją dotąd jedenaście milionów ludzi) ma powierzchnię wyspy brytyjskiej. Na Tennessee i jej dopływach zbudowano dwadzieścia dziewięć tam. Tamy w Smoky Mountains na granicy North Carolina oddlegają o siedemset mil biegiem rzeki od tamy ostatniej — Kentucky Dam, zbudowanej u ujścia Tennessee do Ohio. Różnica poziomów wody u źródeł Tennessee i u jej ujścia jest równa wysokości trzech wodospadów Niagara. Inżynierowie TVA, zajmujący się w wolnych chwilach różnymi ciekawymi obliczeniami, twierdzą też, że podczas budowy TVA użyto dokładnie dwa i pół raza betonu więcej niż podczas budowy kanału panamskiego, który trudno zresztą uważać za drobny architekturalny. Ową beton dwudziestu dziewięciu tam, wraz ze skałą, której użyto przy budowie mógłby wypełnić — twierdzi się — trzymetrowej średnicy tunel, wywiercony na przykład między Warszawą i New Yorkiem.

Jeśli podane porównania nie oddają jeszcze wielkości TVA to można przetłumaczyć je na inne. Oto system jezior, powstałych na skutek przedzielenia koryta Tennessee tamami, ma ponad dziesięć tysięcy mil brzegów — jest to nieco więcej od sumy atlantyckiego i zachodniego wybrzeża USA. Jedynie wiadomość o ograniczeniach objętości „Przekroju”, powstrzymuje mnie od podawania cyfr, dotyczących ilości wody w owych jeziorach i podobnych ciekawych statystyk. Ukończona ostatecznie przed półtora rokiem TVA zmieniła zgodność z powołującą ją do życia aktem Kongresu rwąca podgórska rzekę w system spławnych jezior o ogólnej długości 600 mil, produkuje rocznie około dwunastu miliardów kilowatgodzin energii elektrycznej, w ciągu trzynastu lat zelektryfikowała sto dwadzieścia pięć tysięcy farm, zasadziła sto pięćdziesiąt milionów drzew na wylesionych przez burzę i człowieka wzgórzach Tennessee i zaopatruje czterdzieści tysięcy farm w nawozy sztuczne, produkowane w największej na świecie, poruszanej energią z TVA fabryce fosfatów w Muscle Shoals w Alabamie.

Nigdzie w USA — mimo, że jest to najbardziej uprzemysłowiony kraj świata — nie widać tak wyraźnie ścisłych związków pomiędzy poszczególnymi dziedzinami współczesnej cywilizacji technicznej jak tutaj w Tennessee. Tamy między Smoky Mountains i rzeką Ohio, chroniąc dolinę przed powodzią, produkują energię, której zastosowanie w przemyśle, rolnictwie i wszystkich innych dziedzinach życia pięciu milionów mieszkańców regionu jest praktycznie całkiem nieograniczone. Prąd z tamy Fontana porusza zarówno maszyny fabryki samolotów w najbliższym sąsiedztwie, jak maszyny w fabryce masła i serów w odległej o dwieście mil Alabamie. Dzięki tamie Fontana i jej dwudziestu osmiu towarzyszącym zakładom w Muscle Shoals mogą produkować nawozy fosfatowe i amoniakalne. Nawozy te nie tylko zwiększają wydajność tysięcy farm, ale po-

zwalają na uprawę takich roślin, które nie boją się gwałtownych deszczów w dolinie Tennessee i które chronią glebę przed rozmywaniem jej przez owe deszcze. Zwiększone płony doliny Tennessee dają zatrudnienie tysiącom młokarni, suszarek siana i chłodni, zaopatrywanych w energię elektryczną przez te same tamy TVA i wyprodukowanych w fabrykach, powstałych na terenie, gdzie energia elektryczna jest tańsza niż gdziekolwiek indziej. Na wzgórzach Tennessee nie uprawia się już wyłączenie kukurydzy i tytoniu, ale płody zwiększające wielokrotnie rentowność farm. Chuderlawe bydło w dolinach zastąpione zostało odmianami, które wytrzymują konkurencję z bydłem Kanady i Middle Westu. Place robotnika i potrzeby farmera wzrosły szybko, niż w jakimkolwiek innym rejonie USA. I wynikiem tego może być tak odległy i pozornie niezwiązany z prozą bytła i nawozów fakt wzrostu ilości książek, sprzedawanych w księgarniach Knoxville i innych miast doliny.

Ostatecznie powstanie i działalność TVA przyspieszyły rozwój ekonomiczny i społeczny całej doliny co najmniej o dwadzieścia pięć lat. Niedowiarkowie mogą zawsze udać się przez góry do Georgii lub South Carolina, bądź obejrzeć fotografie osiedli wiejskich i miejskich Tennessee z czasów przedhistorycznych doliny, to jest na przykład z roku 1932.

HISTORIA PEWNEGO MIASTECZKA

Beton, którym otamnowano rzekę Tennessee na jej całej długości, stworzył nowe problemy w życiu codziennym każdego z milionów mieszkańców doliny. Konieczność ich rozwiązania zmuszała do intensywnego myślenia, zmusiła do szukania nowych form gospodarki na farmach i nowych form współpracy w miastach i osiedlach wiejskich. Formy te okazały się obecnie dotychczasowemu stylowi życia amerykańskiego i wzorom klasycznej gospodarki kapitalistycznej. Szukanie tych rozwiązań raz trwało dłużej, raz krócej, ale kończyło się z reguły dwoma odkryciami: konieczności planowania gospodarczego — obojętnie czy na

stej, zagrożonej wiecznie powodzią ziemi nadbrzeża Tennessee. Z planów TVA wypadło rozpocząć budowę tamy na rzece pięć mil na wschód od miasteczka. Powstałe po obu stronach tamy sztuczne jeziora miały zalać całą farmerską okolicę Guntersville, czyniąc z położonego na wzgórzu miasteczka półwysp. Dzień, w którym do Guntersville przybyli inżynierowie z centralnego zarządu TVA z Knoxville, był dla kilkunastu tysięcy Guntersvillan — w ich mniemaniu — dniem sądu ostatecznego. Jeśli nie obrzucano sprawców nieszczęścia kamieniami, to tylko ze względu na świadomość, że sprawa jest całkowicie przegrana, nie było bowiem odwołania od decyzji TVA. Zato przedstawiciele TVA, którzy usiłowali nawiązać z radą rolniczą na temat przyszłości miasta, wyrzucono z ratusza. Po czym nastąpił paniczny exodus kupców, rzemieślników i całej elity ekonomicznej Guntersville w poszukiwaniu nowych warsztatów pracy poza zasięgiem przekłdej TVA.

Okres czarnej melancholii tych obywateli, którzy nie opuścili miasteczka z braku amatorów ich nieruchomości i z braku kapitałów na wędrowkę, trwał około pół roku, od chwili ukończenia tamy i potopu. W pięć miesięcy po tym przywędrowały do napoty wymarłego miasteczka dwie wielkie kompanie transportowe z Północy, rozpoczynając budowę wielkich spichrzów zbożowych i składów gazoliny. Miasteczku przypadało bowiem na skutek uszluszenia Tennessee rola jednego z głównych przeładunkowych węzłów na skrzyżowaniu drogi wodnej od Ohio i Illinois i drogi lądowej, starej nieuczyszczanej szosy wiodącej na południe ku wielkiemu centrum stalowemu Alabamy-Birmingham.

Guntersville anno 1947 jest najnowocześniejszym miastem doliny Tennessee. Jest poza tym miastem niezwykłym, gdyż przebudowano je całkowicie w ciągu dwunastu lat według planów przygotowanych przez miejską radę planowania i inżynierów TVA. W mieście starannie oddzielono dzielnice przemysłowe od mieszkalnych, dzielnic portową od sportowych i jego widok rozradowały na pewno serca warszawskich architektów z BOS. Ideą planowania zaraziło się miasteczko tak gruntownie, że miejska rada planowania stała się najważniejszą instytucją miejską i rządzi właściwie Guntersville. Poności ona niewątpliwie część odpowiedzialności za kilkanaście spółdzielni z elektryczną własnością, co jest rekordem w skali USA. Nie bez jej udziału rozgromiono także bandę skorumpowanych polityków, rządzących miasteczkiem od czasów wojny Północy z Południem. Co jak na dwanaście lat, nie jest zbyt mało.

O NIEZAMIERZONYM SOCJALIZMIE

Bodajże Julian Huxley, który odwiedził dolinę Tennessee tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, nazwał ją największą szkołą socjalizmu w USA. Sądząc po ruchu spółdzielczym doliny i nastrojach jej mieszkańców było to całkiem trafne określenie. Mimo, że primo TVA nie zamierzona była wcale jako eksperyment socjalistyczny; secundo — nie jest nim w naszym europejskim rozumieniu tego słowa.

Kongres USA powołując ją do życia nie był wcale Kongresem rewolucjonistów, a wszelkie idee socjalistyczne są rewolucyjnymi w warunkach amerykańskich. — Kongres pod naciskiem poturej rzeczywistości ekonomicznej USA w latach trzydziestych oddał TVA w użytkowanie to tylko, czym nie zajęłaby się nigdy święta inicjatywa prywatna. Oddał jej tak nierentowny i zwariowany business jak opanowanie burzliwej i kamienistej rzeki. Wszędzie poza tym skreślał ją metodycznie i skutecznie. Zezwolił jedynie na „hurtową” sprzedaż energii elektrycznej, pozostawiając korzyści płynące z jej sprzedaży „detalicznej” inicjatywie prywatnej.

TVA nie przekroczyła nigdy owych ograniczeń. Nawet gdyby pragnęli tego jej realizatorzy, byłoby to równoznaczne z samobójstwem wobec istnienia olbrzymiej koalicji wrogów, czyhajcych na pretekst od walki o „niekonstytucyjność” TVA. Wrogowie ci w chwili słabości nie wzięli pod uwagę możliwości powstania tego, co wyłoniło się na marginesie TVA, dzięki jej budowie: olbrzymiego ruchu spółdzielczego, który objął dolinę w ciągu dziesięciu lat, czyniąc z niej centrum spółdzielczości w USA.

Dziś dopiero, kiedy pięć milionów mieszkańców doliny Tennessee uważa TVA za swą największą i najcenniejszą własność, kiedy czerpie z niej wzory postępowania gospodarczego i socjalnego, widać na czym polega jej wielkość i jak wielkim jest ona niebezpieczeństwem dla współczesnej kapitalistycznej Ameryki jako rozsądnik niezamierzony i nieświadomego wielokrotnego socjalizmu.

Zmiany społeczno-psychologiczne na całym środkowym Południu USA są bowiem równie dostrzegalne, jak tamy i przewody wysokiego napięcia. Ze słowa, wyrzute na każdej z dwudziestu dziewięciu tam „Własność narodu amerykańskiego” nie są dla mieszkańców doliny Tennessee pustym sloganem, że TVA jest ich wielkim, codziennym doświadczeniem, dumą i nadzieją, świadczyć może przytoczona notatka z podróжного pamiętnika. Zamotowałem ją przedwczoraj w Smoky Mountains przy Fontana Dam, najwyższej tamie TVA. Nadaje się doskonale na pamiątkę pierwszej korespondencji z doliny Tennessee:

„Zwidzieliśmy całe południe tamę Fontana. Przed roztaniem się z przewodnikiem z zarządu tamy, mój towarzysz zaproponował mi zapłatę. Odpowiedź brzmiała: „My z TVA nie bierzemy napiwków. TVA należy tak samo do mnie jak i do pana. Wydał pan na nią 5 dolarów i 35 centów” (koszt budowy TVA na głowę mieszkańca USA).

Słowa te zostały wypowiedziane w kraju, w którym koleje, banki, stadiony sportowe i cmentarze należą do prywatnych przedsiębiorstw i osób. Niech utonę w Tennessee, jeśli TVA nie jest szkołą socjalizmu.

MIECZYSLAW WIONCZEK



Kochanemu „Przekroju”!

Z trzydziestolysięczonej i pierwszej mili podróży, w której wasz unizony korespondent odwiedził Wrocław, Dreżno, Pragę, Berlin, Norymbergę, Frankfurt, Hamburg, Londyn, Oxford, Paryż, Le Havre, New York, Waszyngton, Detroit, New Orleans, Mexico City, San Juan, Charlotte Amalie i kilkadziesiąt innych miasteczek przeszła tę folkę wraz z serdecznymi pozdrowieniami
Mieczysław Wionczek
Chattanooga, Tennessee 5. 7. 1947. USA.

MEDAL DLA PSTROWSKIEGO

Ruchy tego człowieka są proste i nieskomplikowane. W mroku, ledwo rozświetlonym płomykami karbidówek, widzę jak schyla się głęboko, nabiera na szufle parę kawałków węgla, prostuje się, migaćcąc spoconym, nagim torsem, odwraca i zrzuca z łopaty cenny ciężar na nieustannie poruszającą się rynnę. Odwraca się potem znów do zwalów „zestrzelonego” węgla, wbija weń krawędź swego prymitywnego narzędzia, nabiera, prostuje, odwraca, zrzuca. I znów — pochyła, nabiera, odwraca, zrzuca. I znów...

Namiętnie, łakomie przyglądam się temu wiecznemu misterium. Misterium poczęcia naszej cywilizacji, naszego życia, które kłębił, przewalał się, narasta, rozwija się tam, w górze. Para i elektryczność czynią to życie coraz wspólniejszym i coraz straszniejszą. Zmiany zachodzą tam na górze szybko, o wiele szybciej, niż tu w dole. Rewolucją było tutaj zastąpienie kłłofa łupiącego węgiel przez nabój dynamitowy rozsadzający skałę. Lecz sam moment odbierania węgla naturze, ziemi i przekazywania go człowieczej cywilizacji — ten moment po dziś dzień nie uległ zmianie. Rozgrzany, nagi górnik schyla się, nabiera na łopatę kawałki cennego kruszcu i rzuca je na poruszającą się rynnę.

W pewnej chwili „przodek” przestaje „fedrować”. Górnik prostuje się słysząc słowa sztygara VIII oddziału zabrzańskiej kopalni „Jadwiga”. — „To jest nasz rekordzista!”. Pstrowski. Reemigrant z Francji. Jeden z tych 879 górników, jacy wraz z rodzinami przyjechali w roku 1946 do Zabrza. Dość mieli ciężkiej i niezdrowej pracy w kopalniach Pas de Calais, gdzie węgiel wyciąga się z 1200 metrowej głębokości, lecząc wwiercając się w jego niskie pokłady. Pstrowski wyjechał do Francji późno. W roku 1937, po czteroletniej udręce na biedaszybach, gdzie pracował po sławnych, lecz bezskutecznych, strajkach na Klimontowie i Mortimerze. Po dziesięciu latach ziemi obcej, wrócił, by „fedrować” węgiel nie Francji, lecz Polsce. Wrócił, by stać się rekordzistą, najbardziej wydajnie pracującym „górnikiem przodowym” na Śląsku. Normą pracy dla górnika przodowego na dniówkę (7 i pół godzin) wynosi 1 m 30 cm; co znaczy, że jeżeli chodnik ma wymiary 2 na 2 metry, to należy go pogłębić o 1 metr 30 cm. Górnicy na ogół posuwają się o 1,80 m do 2 metrów. Rekordzista Pstrowski posunął się natomiast w dniu rekordu o 3,40 m naprzód; a przeciętnie wyrabia on 2,80 do 3 metrów.

Próbuję rachować dalej. To znaczy, iż w dniu swego rekordu załadował on 13 wózków po 0,75 tonny węgla każdy. Cała kopalnia wydostaje na dobę 4500 ton węgla. Wszystkie kopalnie dostarczyły w roku ubiegłym 47 288 006 ton węgla. Z czego eksportowaliśmy prawie 15 milionów ton, do siedemnastu krajów Europy, otrzymując w zamian...

Cyfrę i myśli kłębią się w głowie, gdy słucham równocześnie dumnej relacji Pstrowskiego o własnym wysiłku, o dzieciach kształconych w średnich i wyższych szkołach i prostej skargi, że państwo nie uhonorowało jeszcze w dostateczny sposób tego górnika. Nadstawiam baczniejszy uszu, myśląc, że usłyszę narzekania na złe mieszkanie, na pospolity brak butów, przez co młodzi górnicy pracujący w wilgotnej, błotnistej kopalni, nabawiają się skutecznie reumatyzmu. Nie, nie podobnego. Gór-

nik Pstrowski chciałby dostać jakieś odznaczenie, po prostu medal.

Medal. Słucham zdziwiony. O medale i odznaczenia proszą ludzie, którzy poza tym nie mają już żadnych bardziej zasadniczych potrzeb. Pstrowski pragnie już tylko owego awansu towarzyskiego, awansu wyróżniającego — właśnie medalu.

Nie wszyscy jednak górnicy są tak zadowoleni, jak „górnik przodowy” Pstrowski. I nie wszyscy ograniczają się do krótkiego pozdrowienia „Szczęść Boże!” lub prosby o odznaczenie. Sprawy górników nie są łatwe. I wcale nie tylko dlatego, że w każdej chwili może nastąpić „łompnięcie” chodnika czy „filara” i prędka śmierć. Śmierć nie jest tu ważna i nikt się nią nie kłopotuje. Są inne sprawy, o których się ciężko myśli i gorzko mówi. Są to sprawy materialne i sprawy narodowe. Mieszkają się one ze sobą i w rezultacie dwaj górnicy — ślusarz, który 24 lata był we Francji i młody górnik, który przed dwoma laty przybył spod Rzeszowa skarżą się ponuro, że nie dochodzą do nich

przyznane przez ministerstwo przydziały, gdyż autochtoni opanowali siłą liczebną rady załogowe, siedząc w „górze” — i nie dopuszczają nic do robotnika Polaka.

A w parę godzin potem stary Antlik, który na tej kopalni pracuje już 46 lat, który ma dorosłych synów też w kopalni pracujących, którego wnuki będą tutaj też „fedrować” węgiel, skarży się doskołałą polszczyzną, śmiejąc się z lekka, jak człowiek życia świadomy: „Wtedy karano mnie za mówienie po polsku, a teraz karzą mnie, gdy do kolegi odezwę się po niemiecku!”. A drugi, który 24 lata tutaj bez przerwy pracuje kiwa z zastrzeżeniem głowy: „Tak, tak — teraz jest lepiej. Jest przecież Polska. Dzieciaki uczą się pacierza i czytają po naszemu. Ale wtedy mogłem kupić ubranie i buty bez trudu, a teraz?...” Wymownym ruchem wskazuje na oderwaną podszewkę, przez którą wlewa się woda załagająca chodniki. Do niego, do autochtona, do „Niemca”, jak chcą jego koledzy, też widocznie nie dochodzą przydziały. Czyż mogą dojść, jeśli lista, jaką dnia po-

przedniego zobaczyłem na tablicy ogłoszeń w Zabrzańskiej Centrali Węglowej z nazwiskami tych, którym przydzielono świeże buty, liczyła niecałe sto nazwisk. Sto nazwisk na robotników 6 kopalni, dwóch koksowni i wielkiej liczby zakładów pomocniczych to nie jest wiele, — nawet jeśli co miesiąc stu innych robotników dostaje nowe buty.

W tej samej chwili ktoś zaczęła oprowadzającego mnie sztygara. Słyszę, że jakaś maszyna stała, gdyż magazynier nie wydał stosownej ilości oleju, a nie wydał — gdyż nie było go w magazynie.

I raptem pojmuję całą niezwykłość sprawy, która się wokół mnie dzieje. Ów spocony górnik nabierający węgla na szufle jest właśnie elementarnym początkiem kręgu naszej gospodarki. Nie jest wielką sztuką nabierać węgla na łopatę przez dzień cały, gdy się ma na nogach ciepłe, nieprzemakalne buty, gdy obok czuje się zycielskie ramie współtowarzysza, gdy w domu nie ma kłopotów z jedzeniem czy ubraniem, gdy rynnę zrzucający węgiel pracują gładko, będąc dobrze naoliwione, gdy... Ale jest wielką pracą i wielką sztuką realizować normę i pobijać rekordy, gdy nie ma butów, nie ma oleju, gdy kolega patrzy kossem na kolegę widząc w nim „Niemca”, lub czując się samemu czymś gorszym wobec napływowych Polaków. A węgiel musi być wydobywany, gdyż dopiero po iluś tam latach nieustannej przy nim pracy owe koło cywilizacyjne zamknie się, dostarczając górnikowi butów i ubrania, książki i chleba, narzędzi pracy i smarów w stosownej ilości. A wtedy nie będzie miał jeden mniej a drugi więcej; łatwiej wtedy zniknie ta tragiczna bruzda między Polakami z „tej” i z „tamtej” Polski.

A u podstawy tego tkwi ów zapładniający życie na ziemi rytmiczny ruch górnika „fedrującego” węgla. Górnika Pstrowskiego, który chce dostać medal. Dajcie mu go. Warto, by ktoś był już szczęśliwy.

W BYTOMIU ROSNĄ DZIECI

Z trzech wielkich miast przemysłowych, które na Górnym Śląsku objęte są granicami ziem odzyskanych Zabrze, Gliwice i Bytomia — to ostatnie zniszczone jest najbardziej. Przynajmniej takie robi wrażenie. W tym dużym prawie stu-tysięcznym przemysłowo-górnym mieście, nieopodal ruin ongi pięknego rynku jest wielki park. Na małym wzgórzu w parku stoi dawny, drewniany gontami kryty, małeńki kościółek. Na czarnych jego ścianach ryją okrutnie swe czcigodne imiona różne Kaśki ze Lwowa, Józki z Warszawy i Maryny z Łowicza. Przysiadając się z ławki na ławkę po złodziejsku podśuchują rozmów przygodnych towarzyszy. Słysze, jak ludzie starci, po pracy tu odpoczywający, dzielą się tęsknymi wrażeniami: że jednak w parkach Wilna i parkach Lwowa było znacznie ładniej, że nawet w Łazienkach Warszawskich jest ładniej, że — rozmowy stawały się uogólniającymi — tam to nie tu. Tak rozmawiają dorośli w parku w Bytomiu. Nie oni jednak w tym parku są najważniejsi.

W parku w Bytomiu najważniejsze są dzieci. Jest ich tu ilość niewiarygodna. Zalegają słonece i cień. Leżą w wózkach i wózczech. Szamocą się po trawnikach, raczkują po ścieżkach, hasają między drzewami, nurkują wśród krzewów. Krzyczą, bawią się i cieszą. Są zadowolone i szczęśliwe. Te najmłodsze urodziły się już w By-

TRANSPORT

odnalezionym po latach: FLORZE & WŁADYSŁAWOWI BIENKOWSKIM z krakowskim pocatunktem
AUTOR

PROZA:

W autobusach, tych nowoczesnych dyliżansach, tych domach ludowych na kółkach, spotykają się różni ludzie:

WIERSZ:

Allegro Sostenuto

jedzie magik w cylindrze, przedwcześnie siwy,
jedzie dyrektor departamentu, na grzyby,
jedzie sekretarka spółdzielni „Niniwa”,
jedzie Hermenegilda Kociubińska z rulonem patriotycznych

i z olbrzymim rewolwerem facet, który wygląda jak nieżywy,
i sceptyczny dog pod ławką,
i duch (kobieta?) ze czkawką,
i jeszcze jeden dzielny facet z, parą, prywatnej inicjatywy.

Z początku wszystko to są ludzie obcy:

i PPR i PPS, i jeszcze co tam,
dialóg kuleje, kopci,
ale wreszcie jak nie się mota,
i za każdym szosy załomem
autobus coraz bardziej staje się domem,
wspólny autobus,
wspólny interes,
wspólna dola i robota;
wspólna piosenka i cel,
wspólna, parą, odwaga,
co tu gadać: czerwień i biel:
wspólna na maszcie flaga,
kwiat, proszę państwa,
cud, proszę państwa:
na dachu autobusu jak z musu:
BIAŁO-CZERWONA FLAGA.

A autobus właśnie przejeżdża przez góry,
ksiądz Franko mówi „módl się za nami”
i gdy autobus przejeżdża koło chmury,
sonety Hermenegildy łączą się z chmurami.
Piorun. Autobus staje. Pocałowana dziewczyna poprawia

a idioci piją alkohol.

Potem znowu ruch i krajobraz.
Garnki na płocie. Kogut pieje.
W wieczór kścieżyc, w co się patrzy jak w obraz,
w zmienne kwadry niezmienniej nadziei;
czasem deszcz w rytm słowiańskiej pieśni,
czasem z lasu faunowie leśni
jak ten gość w kacie, który nic nie gada,
tylko się uśmiecha i śwista,
ani „katolik”, ani „marksista”,
tylko rzetelny rzemieślnik.

[we włosach kół,

K. I. GAŁCZYŃSKI

tomiu. Bytom stał się ich ojczyzną — tak jak ojczyzną ich ojców i matek był Tarnopol, Nowogródek i Radom. Nieco starsi, co ubrani w harcerskie koszule grają w coś zaciekle — pamiętają jeszcze swe dziecięce strony. Zapytane, będą z powagą powtarzać, jak ich rówieśnicy w Olsztynie, słowa słyszane codziennie od rodziców: „Tam było lepiej!“. Za parę lat zapomną o „tamtych“, staną się obywatelami wielkiego parku w Bytomiu, który im już na zawsze pozostanie najklimatyczniejszym krajem lat dziecięcych. Bytom liczy sobie 50 proc. autochtonów, z dawną zamieszkanych tu Polaków. Dorosli mówią o nich per „Niemcy“, ale synowie już pospół bawią się razem w parku w „tropienie“, a córki chodzą do tej samej klasy i potem razem będą tańczyć na zabawach, pospół rywalizować o tych samych chłopów. A gdy minie lat parę, na cmszałych ścianach starej kaplicy nie będzie widać już nazw miejscowości dopisywanych przy młodzieńczych imionach. Gdy bawiące się dziś na ścieżkach bytomskiego parku dzieci, gdy dorosną — będą już wszystkie tylko z Bytomia.

SENS ODRY

Do Koźła maszerowałem raczej z poczucia patriotycznego obowiązku, nakazującego obejrzeć Odrę w punkcie, gdzie nabiera ona znaczenia, jako arteria handlowa, niż bym się spodziewał ujrzeć tam coś interesującego. Jako przyzwyczajony szczer ładowy miałem tylko szacunek dla morskich imprez i „port“ zaczynał się dla mnie powyżej Gdyni. A oto w niepozornym Koźlu natknąłem się na autentyczny port i to w dodatku z objaśnieniem: „największy w środkowej, a może nawet i całej Europie“.

Trzy szerokie baseny wrzynają się w ląd pod kątem ostrym do biegu Odry, która dopiero od tego miejsca staje się dostępną motorowej żegludze. Galary wprawdzie jeszcze dochodzić mogą kanałem Kłodnickim do Gliwic, ale port w Gliwicach jest mały i nieprzystosowany do tak masowych przeładunków, jak tego wymagają potrzeby gospodarcze dorzecza Odry.

Port kozielski w tej chwili pracuje już zupełnie normalnie i przygotowany jest do masowych przeładunków węgla i rudy. Węgla, który ze Śląska płynie wodą do Szczecina i dalej w świat szeroki, oraz rudy, która ze świata przypląwa tędy do hut śląskich. Spławny basen, o nadbrzeżach przebudowanych przez Polaków, posiada czynnych 5 wywrotnic do węgla i jeden duży dźwig elektryczny. Jedna taka wywrotnica przeładowuje w ciągu 5 minut 15-tonnowy wagon węgla. To znaczy w godzinę przeładowuje ona 100 ton węgla. I barka węglowa, typu używanych na Odrze, potrafi przyjąć ładunek całego podzięgu węglowego, to jest 40 wagonów 15-tonnowych. A największa nasza barka na Odrze ma pojemność 900 ton, to jest 60 wagonów węgla. Na Wiśle natomiast największe barki węglowe mogą przyjąć powyżej ładunek 50—60 ton. Wielką barką, obsługiwana przez pięciu ludzi, węgiel nasz płynie do Szczecina 14 dni. Stamtąd barka wraca do Koźła z rudą szwedzką.

Na drugim basenie pracują dwa dźwigi. Na trzecim, przeznaczonym głównie na drobnicę (zboże, cement, kamienie — przychodzące z Dolnego Śląska) znajdują się rynnny i odpowiednie instalacje przeładunkowe. Na brzegu stoi wielki „silos“ (elewator) zbożowy, który już niebawem stanie się spichlerzem okolicy.

Ruch jest w porcie olbrzymi i

nieustanny. Zimowy odpoczynek trwa tylko 3 miesiące, gdyż Odra jest o całe pół roku dłużej spławną niż Wisła. W jednym miesiącu maju 1947 roku weszło do portu barek o 39,846 tonach wyporności, a wyszło o 97,737 tonach.

Dwa lata temu stan polskiej żeglugi na Odrze — równy był zeru. Już w czerwcu 1946 roku dysponowaliśmy 29 barkami o łącznej wyporności 15,527 ton i 9 holownikami o sile 2,100 HP. Pół roku temu mieliśmy już 75 barek o 35,087 tonach wyporności i 15 holowników o 3,930 HP. W ciągu tego półrocza załoga pływająca wzrosła z 135 do 167 ludzi. W roku 1947 — 6 stoczni odrzańskich wybuduje i wyreperuje dalszych 180 barek i 23 holowników.

W rozwoju portu w Koźlu zainteresowane są bodajże wszystkie państwa tej części Europy. Próbuje my teraz odrabiać niefortunny posunięcia z pierwszych miesięcy wolności, wskutek których eksport czeski skierował się nie przez Koźle lecz przez Lubekę i Hamburg. Obecnie w Koźlu powstaje delegatura czeska. A kto wie, czy nie należałoby podjąć realizacji starego projektu, według którego Odra miała być połączona z Dunajem kanałem przebitym przez Czechy. Urzeczywistnienie koncepcji kanału Odra—Dunaj stworzyłoby by jednolitą drogę wodną Bałtyk—Morze Czarne i połączyło w gospodarczą całość cztery państwa naddunajskie z Czechosłowacją i Polską. Szczecin stałby się wtedy naprawdę portem środkowej i południowej Europy a Odra nabrałaby dopiero wtedy pełnego gospodarczego sensu. Dwa narodom słowiańskim — Czechom i Polsce interes ten opłaciłby się stokrotnie. A właśnie rentowność, opłacalność, kapitalizacja — są tymi najwłaściwszymi pryzmatami, przez które oceniać winniśmy sprawy tej bogatej rzeki: Odry. Na sentymenty historyczne przyjdzie wtedy kolej i stosowny czas, gdy ludzie w Koźlu i ludzie w Szczecinie będą się z Odry bogacić. Dlatego tak bardzo ucieszyłem się, gdy mi kapitan portu kozielskiego pan Syrek z Tarnowa oświadczył, iż port jest doskonałym interesem i że dziś każdy dźwig i każda wywrotnica zarabiają już na siebie i swoją obsługę.

W AUTOBUSIE ZA OPOLEM

Od paru dni wędruję szlakiem zniszczenia — to znaczy posuwam się wzdłuż szosy idącej ku Wrocławowi. Pozostawiłem za sobą Strzelce — miasteczko zniszczone w 80%. Bawiłem przez pewien czas w uroczym, zaiste pięknym Opolu, mieście zniszczonym w wysokim stopniu, które z tradycjami i wyglądem winno być wojewódzkim.

W każdym z nich i w wielu innych, pomniejszych, równie zniszczonych miasteczkach widziałem uroczyste plakaty donoszące, iż ludność miejscowa złożyła na odbudowę Warszawy tyle i tyle złotych i groszy. Rozumiem symbolikę tej akcji, a nawet zgola symboliczną niekiedy wartość samych cyfr — ale właśnie ta symbolika mnie demerwuje i z całą świadomością kwestionuję jej celowość. Dlaczego ludność zniszczonego Opolu ma odbudowywać Warszawę — kiedy jej pierwszym obowiązkiem jest odbudować i jak najprędzej Opole, tak jak ludzie mieszkający w Olsztynie, Wrocławiu czy Szczecinie winni przede wszystkim dbać o własne miasta. Inaczej staniemy wobec niemoralnego paradoksu — już wobec niego stoimy! — że intensywnie odbudowuje się stolica, a w mniejszych miastach, miastach ważnych dla bogactwa i kultury kraju, poza przemysłem nie widać ruchu odbudowy. Dzieli

się w ten sposób Polskę na sekcje A, B i C. Wysilek Opolanina skierowany na odbudowę odległej, może nigdy przez niego nie oglądanej stolicy, jest mizerny i ospały. Nie czuje jej zniszczenia, mało go ono ziębi czy grzeje. Wysilek skierowany na odbudowę własnego miasta — jest dla niego wysiłkiem konkretnym i realnym. W zniszczonych miastach i miasteczkach bliższej i dalszej prowincji nie powinniśmy propagować akcji odbudowy Stolicy, lecz przede wszystkim rozmyślać nad intensywną odbudową własnego miasta i własnej wioski.

Takie myśli przychodzą do głowy, gdy przez zakurzoną szybę PKS-u smętnie patrzę na wypalone kikuty mijanych miast Górnej Śląska. Podpalacz dobrze wiedział co czyni, podkładając ogień pod dobytek, który przestawał być jego. Była to nie tylko chęć zniszczenia, ale i pewien swoisty „dalekościowy idealizm“ — ten sam, który tkwił u źródła spalania Warszawy — by nadchodzącą Polskę tak bardzo zaabsorbować odbudową kraju, by długo jeszcze nie miała siły ni czasu stać się ważnym elementem w europejskiej polityce. Przyszłość okaże, jak dalece przerachował się.

Poprzedz warkot motoru tego nowoczesnego dyżyzansu dolatują mnie słowa i rozmowy innych pasażerów. Są to ludzie pracy. Dzielą się swymi codziennymi trudnościami, jakich na Śląsku, jak nigdzie, nie brak. Wyrzekają na pracę i na złą płacę. Skarżą się na oszustów i kombinatorów. Wygadują na Ślązaków, jak wszędzie na całym świecie wygaduje ludność napływowa na ludność miejscową. Gdy się tak słucha tych przygodnych rozmów — powstaje wizja stałych, natarczywych kłopotów. Kłopotów pieniężnych, żywnościowych, ubraniowych i osobistych, które tworzą dnie codzienne i które państwu Kowalskim z Warszawy, Kuniewiczom z Wilna i Zielińskim ze Lwowa przysłaniają generalnie sprawy tej śląskiej ziemi. I w pewnej chwili cieszę się, że ja tu nie mieszkam, że nie mam tych kłopotów dnia powszedniego, złego mieszkania i złego sąsiada — gdyż daje mi to możliwość spojrzenia na kraj ten i jego ludzi z boku, z perspektywy, która zaciera zwykłe troski a tym samym uwypukla istotne wartości, obnaża właściwy sens.

Ziemia ta jest krajem bogatym w skarby natury i skarby urzadzone ręką ludzką. Ziemia ta jest jednak ziemią zniszczoną. Osiadli na niej nowe gromady ludzi, przybyszów, którzy uruchamiając na nowo pospół z autochtonami wydajność bogactw śląskich, są równocześnie przedmiotem procesu formującego z tych rozlicznych gromad jednolite społeczeństwo. Ciężko jest odbudowywać kraj i jednocześnie przystosowywać do siebie różne grupy ludzkie. Rodzą się wtedy rozliczne kłopoty materialne i psychiczne. Trzeba cierpliwości i czasu, by domy i fabryki powstały z gruzów a wraz z tym, w następnym pokoleniu, uformowało się jednolite społeczeństwo nowego Górnego Śląska.

I ten czas nadejdzie. Wprawdzie wtedy, ludzie w autobusie idącym z Opolu do Wrocławia też będą rozprawiać o swych codziennych kłopotach, też wyrzekać będą na rząd i władzę miejskie, na bliżnich i dalekich, ale kłopoty te będą już inne niż są dzisiaj. Jeśli tylko pasażerowie autobusu tego mówić będą po polsku i będą dziećmi tych, którzy dziś jadą razem ze mną — to wszystko będzie w porządku. Istota bowiem sprawy polega na tym, by na Śląsku mieszkał Polak i by Śląsk jego właśnie bogacił.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH

opracował: Jan Kamiński

BON TON NA ULICY.

(Ciąg dalszy)

Mężczyzna towarzyszący kobiecie kroczy po jej lewej stronie jak równie osoba młodsza towarzysząca starszej. Na Zachodzie kobieta chodzi zawsze pod ścianą, mężczyzna zaś od strony chodnika, co ma na celu ochronę niewiasty przed rozchukany koniem lub samochodem. U nas jednak — przy wielce rozpowszechnionym obyczaju wylewania za okno wszelkich nieczystych płynów oraz trzepania na ulicę ślepeczek od kurzu, a także obfitego podlewania palerogoni w skrzynkach — miejsce pod ścianą nie jest specjalnie uprzywilejowane i może też korzystać również mężczyzna. Inna sprawa, że kobiety i pieski niełatwo jest oderwać od strony domów — pieski z powodów zrozumiałych, kobiety zaś z powodu wystaw sklepowych. Toteż mężczyzna towarzyszący kobiecie na ulicy musi tak oczarować ją rozmową na temat „ja Kocham cie i nienawidzę...“ by skochana przezeń pieć damska obójnie przechodziła obok gorsetów i kapeluszy. Idąc w trójkę, pozostawia się miejsce środkowe osobie najczłowieczniejszej. Jeśli chodnik jest wąski, należy godną osobę puścić przodem. Tak samo mężczyzna przepuszcza kobietę, schodząc w razie potrzeby nawet do rynsztoka.

„Na widok formującego się zbiegowiska każda szanująca się kobieta przyspieszy kroku i skreśli w boczną ulicę, aby nie mieszać się z gawiedzią i nie słyszeć obrażających jej uszy wykrzyków, jakie często towarzyszą owym ulicznym sensacjom i awanturam“ (Zycie towarzyskie, Warszawa 1907). Takie to surowe paragrafy wzbraniały naszym prababkom drobne i jakże godziwej rozrywki. Dziś — przeciwnie! Szanująca się kobieta dokładnie informuje się o powódź zbiegowiska i, jeśli to potrzebne, może przyjąć z pomocą ofierze nieszczyśliwego wypadku. Ten sam obowiązek dotyczy też oczywiście przechodniów płci męskiej.

Ponadto mężczyzna towarzyszący kobiecie winien stanowczo wydrzeć jej z ręki każdy przedmiot ponad 5 kg wagi jak: walizka, ciężka torba, wielkanocna szynka lub pożyczona od sąsiadów wyrzmaczka — i sam winien się owym przedmiotem obarczyć. Obowiązek ten nie dotyczy ciężarów w rodzaju żywych piesków lub niemowląt a także drobnych paczek sklepowych w większej ilości, choćby łączna ich waga przewyższała wyż. wsp. 5 kg.

BON TON W BIURZE.

Biura są terenem opanowanym przez ludność dwójaką: urzędników czyli autochtonów i klientów czyli tzw. „strody“. Biurowy zatem bon ton trzeba podzielić na nast. dziedziny: 1) urzędnicy między sobą, 2) urzędnicy i klienci, 3) klienci i urzędnicy, 4) klienci między sobą.

1) Urzędnicy między sobą. Biurokracja istotą tego świata jest hierarchia, czyli ustalony dla każdej grupy ludzi porządek przechodzenia przez drzwi (znane są wprawdzie pogawarki: „pan pozwoli — ale proszę — après vous, monsieur... i t. d. w rezultacie jednak nieodmiennie wojewoda idzie przed starostą). Stąd wynika, że szefem należy się względem w rodzaju wstawania na ich przywitanie, ustępowania im prawej strony i miejsca w tramwaju i t. d. Jeśli jednak szef jest znacznie młodszy od swego podwładnego lub jeśli tym podwładnym jest kobieta — szefunko będzie iśkawką zapominał w takich sytuacjach o swej szlubiowej „randze“ — w przeciwnym bowiem razie nie może być uważany za dżentelmana. To oczywiście też bez przesady, o czym będzie mowa w następnym numerze. A zatem

ciąg dalszy za tydzień.

DANKA w Łodzi: Po gastronomicznej części zebrania towarzyskiego należy powiedzieć „dziękuję“ — lecz nigdy w czasie trwania posiłku. Fe! Dopiero wstając, kładziemy się lekko całemu towarzystwu ze słowem „dziękuję“ na ustach. Na co odpowiedzieć brzm. „dziękuję“ a nigdy „proszę bardzo“. — Nonsens! Czyli — mamusia jak zawsze miała rację!

...REKOMA KOBIET



ZSRR cierpi na równi z innymi krajami na kryzys mieszkaniowy. Choć w wielu miastach radzieckich nie brak tak pięknych nowoczesnych domów, jak widoczny na zdjęciu gmach w Moskwie, to jednak jest i wiele domów zniszczonych, które trzeba odbudować. Lecz w ZSRR nie poprzestaje się na sloganach o odbudowie, tylko buduje się w pelnym tempie. Także i kobiety postanowiły tam przyłożyć się do dzieła i pracują w charakterze architektów, murarzy, cieśli. Są już w ZSRR całe domy wzniesione wyłącznie rękoma kobiet. — To ku uwadze kobiet, które, plotkując i malując się, czekają po kawiarniach, aż im się wybuduje dom

Swoboda
ŚWIATA

ZARAZA

Swoboda jest zaraziwa i los kolonii europejskich został przesądzony z tą chwilą, kiedy ludność pierwszej z nich zorientowała się, że nie koniecznie trzeba żyć w zależności od przyjezdnych białych i pracować na dość odległą Europę. Ze przyjemniej jest pracować na samych sobie i samym rządzić się u siebie. Rozpoczęły się buntury za buntami i bodaj, czy się skończą. Indie wywalczyły już sobie statut dominialny. Walczyli i walczą przeciw Holendrom Malaje w Indonezji. Walczyli z Francuzami, lecz chwilowo zostali pokonani Malgasze na Madagaskarze. Ale zaraza poszła dalej i oto z kolei murzyni w Tanganice, którzy dotychczas potulnie uprawiali bawełnę i również dający włókno szał (patrz zdjęcie), poczynają uciekać z plantacji i łączyć się w buntownicze oddziały. Równocześnie z Nigerii i Kamerunu... — ale o tym przeczytacie w następnym numerze naszego tygodnika.



ALLE RAUS!



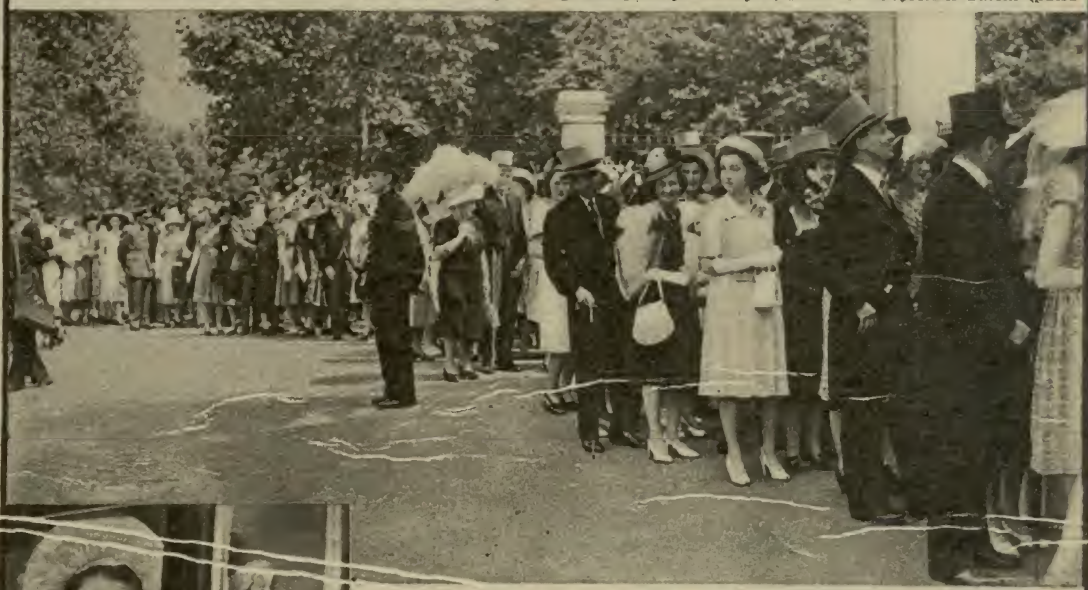
Nic w naturze nie ginie. Czasami zmienia tylko miejsce. Metody hitlerowskie, stosowane przez Niemców w okupowanej Europie, znalazły teraz zastosowanie w samej Rzeczy. Oto niemiecka „demokratyczna” policja zatrzymała niedawno na stacji Buchholtz pod Hamburgiem pociąg idący z Kolonii. Szczelnie „rraus...” wyrzuciło wszystkich na peron i podróżni zostali poddani szczegółowej rewizji bagażu. Szukano warzyw, owoców i kartofli, które są cennym obiektem na niemieckim czarnym rynku. Niemka ani jej towarzyszy nie są, jak widać, zachwycony rewizją swego worka. On już pewnie zapomina, jak uganiał się za przekupkami np. z kieleckim dworcem, będąc w 1943 r. żandarmem w G.G.; ona nie pamięta, jak bardzo rada była paczkom, które z zarekwizowanym „szpeklem” nadchodziły od niego z Polski. Oboje kina „zdenazyfikowanych” żandarmów za to, iż oni teraz swe żony czy narzeczone obdarowywać będą skonfiskowanymi w Buchholtz prowiantami. Tym razem jednak już nie tłustym „szpeklem” lecz zwykłymi kartoflami, i zabranymi nie pod Krakowem lecz Hamburgiem. Gdyż mamy rok 1947, a nie 1943 i w tym właśnie jest rzecz sedno...

ZARECZYN Y ELŻBIETY

Posada panującego w Anglii nie należy do najprzystojniejszych, ani praca do łatwych, mimo że ogranicza się tylko do reprezentacji. — Społeczeństwo angielskie uważa, że tryb życia rodziny królewskiej winien być kontrolowanym przez to społeczeństwo wzorem życia rodzinnego dla każdego obywatela Imperium. Toteż kiedy zaczęto ongiś stosować narkozę przy porodach i królowa miała rodzić w uspieniu, purytańskie społeczeństwo angielskie gwałtownie

zaproteutowało w imię Pisma Świętego, które mówi, że człowiek „w bólach rodzić będzie”. No i biedna królowa musiała rodzić żywcem... — Kiedy ostatnio rozeszła się wieść, że księżniczka następczyni tronu, Elżbieta, ma poślubić Filipa greckiego, w Anglii również zawrzało. Mimo, że 25-letni książę jest przez swego pradziada, Chrystiana IX duńskiego spokrewniony z domem angielskim, mimo że wychował się w Anglii, służył w angielskiej marynar-

jak jej wuj książę Windsoru — zagroziła abdykacją, wzięło górę nad polityką i zareczyny zostały ogłoszone. Wobec tego książę Anglii postanowił pogodzić się z faktem dokonany i kiedy król wydał w pałacu Buckingham „Garden-party”, żeby przedstawić przyszłego zięcia towarzystwu londyńskiemu, towarzystwo to tłoczyło się w ogonku, by dostać się do ogrodów pałacowych i witało serdecznie narzeczonych, skoro ci nadjechali autem (patrz



ce i nawet nosi angielski tytuł księcia Mountbatten — Anglii nie przeszedł się z tego, że ma zostać małżonkiem ich przyszłej panującej. Dziennik „Daily Worker”, przedstawiciel lewicy oświadczył, że wprowadzenie do angielskiej dynastii członka najbardziej reakcyjnej działy dynastii greckiej byłoby „policzkiem dla brytyjskiej demokracji”. Jednak uczucie Elżbiety, która — podobnie

zdziała). — Książę Filip jest przystojnym mężczyzną, więc w każdym razie przysporzy dynastii angielskiej ładnych dzieci, a to dla żadnej dynastii nie jest do pogardzenia. (Władność dla zakonnych: pierścionek zareczynowy księżniczki Elżbiety składał się z jednego większego brylantu i dwóch mniejszych, oprawnych w platynę)

DZIEWCZĘTA CERUJĄ ŻAGLE



Chwila wytchnienia na środku jeziora

Od czasu odfryzowania niepodległości morze jest beniaminkiem naszego społeczeństwa. A jeśli, jak mówi slogan, „jesteśmy narodem morskim” — przeto nie wystarczy już tylko znajomość plaż koło Sopotu i rozmarzających widoków fal o zachodzie słońca. Trzeba, żeby liny masztów odarły nas skórek z niejednych dłoni, żeby sposób napełniania żagli wiatrem przestał być czynnością dla wtajemniczonych.

Po to, żeby osiąść sztukę nawigacji, nie trzeba koniecznie być kołysanym przez autentyczne fale morskie; można z powodzeniem, w głębi lądu, na jeziorze uprawiać rzemiosło marynarza, posługując się przy tym niepozorną „jolą”, czyli małym żaglowcem. Dlatego też wygi z Akademickiego Związku Morskiego z siedzibą nad Jeziorem Rożnowskim w większości nie znają załamania wody i nieba na horyzoncie. Postanowili wyjść Bałtykowi na spotkanie jako otrząskani żeglarze, których nie zaskoczą żadne niespodzianki. Tam już tylko nabiorą koniecznego szlifu, jaki osiąga się przez przebywanie sam na sam z wodną pustynią. Ci przyszli lekarze, notariusze czy też (czego im nie życzyć), urzędnicy magistracy — z własnego zamyślenia i zapadu przechodzą przysposobienie morskie, marząc przy tym po cichu o własnej morskiej skorupce, na której będą mogli kiedyś spędzać urlopy.

Na jeziorze Rożnowskim słychać krótkie okrzyki: „Grot staw! fok staw!” W ślad za nimi na masztach wysirzeają białe trójkątne płótna. Instruktor wyznacza kurs, żagle stają się brzuchate, jacht miękko nachylony sunie po jeziorze, nabierając prędkości. Przy sterze zmieniają się młodzi ludzie, każdy z nich musi wykonać parę manewrów, wyjaśnić ich zasadę i jako chwilowy kapitan statku uczy się wydawać komendy. Jachty tańczą w lekkich ukiwnach, mijają się z gracją wśród dziwacznych rozkazów sterników: „Fok luz! Grot szkoty wybieraj!”.

Następują emocjonalne ćwiczenia „człowiek za burtą”, podchodzenie do zaimprowizowanych boi z forde-

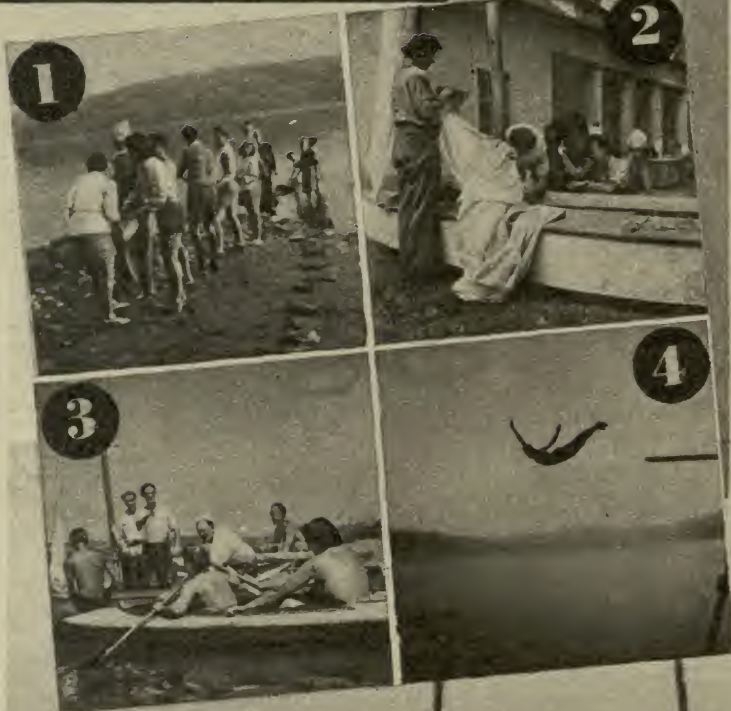
- 1** Przysiaś buduje się jedynie przy pomocy tych oło „dziesięciu palców”
- 2** Postępione żagle lata się w podobny sposób jak spodnie młodszego brata
- 3** Umęczoną do reszty przez instruktora załogę zmieniają świeżo wypoczęci
- 4** Żeglarz musi być równocześnie wytrawnym pływakiem i umieć skakać z burty tonącego okrętu

windu, bajdewindu itp. nazw wiatru. Na lądzie grupy dziewcząt i chłopców, czarnych jak gdyby urodzili się nad rzeką Limpopo, rozważają trudne problemy zawietrzności i nawietrzności statku, dryfu, zasady bocznego oporu, działania steru, przepisy etykiety żeglarskiej oraz uczą się, co to jest prawdziwy „klar” czyli porządek i wygląd sprzętu. Inna grupa siedzi na trawie pod uginającymi się od jabłek drzewami, omotana w cudaczny sposób grubymi sznurami. Przepraszam, w żeglarskim języku nie ma sznurów, a są liny, zaś to czym się teraz zajmują, to roboty linowe. Nauka węzłów mocnych, łatwych do rozwiązania a pewnych, gdyż zawsze przecież chodzi tu w pierwszym rzędzie o życie ludzkie. Panie z wrodzoną wprawą latają podarte żagle, piorą je i suszą na łące.

Załoga służbowa przygotowuje posiłki. Na dźwięk dzwonu wachtownego ściągają zewsząd grupy wygłodzonych żeglarzy. Potem opuszczenie bandery, modlitwa i czas wolny. Jeśli warunki sprzyjają, to znowu ciepło ubrane załogi wyruszą nocą na ciemne wody jeziora.

Orka trwa bez przerwy. Kilku-dziesięciu entuzjastów postanowiło z zapamiętłym uporem wypędzić z naszego społeczeństwa resztki ducha lądowego.

WIESŁAW CZYŻEWSKI



Noc zapowiada się pogodnie: trzeba łódź przygotować do żeglugi

JEŚLI PRAGNIESZ MIEĆ PRZYJACIÓŁ...

DALE CARNEGIE
PRZEŁOŻYŁA I STREŚCIŁA
KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

Jeśli pragniesz mieć przyjaciół, musisz się dla nich fatygować. Nie żałuj im czasu, energii, ofiarności i pomysłowości. Kiedy książkę Windsoru był jeszcze księciem Walii, powierzył dla niego zamiar zwiedzenia Ameryki Południowej. Książę przygotował się do tej podróży, miesiąc całe studiując język hiszpański, tak że za oceanem był od razu w stanie publicznie przemawiać w tym języku. Oczywiście południowi Amerykanie przepadali z tego powodu za nim. — Lata całe trenowałem swą pamięć specjalnie celem zapamiętania dni urodzin moich znajomych i wpisywałem każdy z nich do specjalnego kalendarza, aby móc wysyłać w porę odpowiednie depesze z życzeniami. Jest to trochę uciążliwe, ale jakąż sprawą ludziom przyjemność, jakie ciepło wytwarza!

Jeśli chcemy mieć przyjaciół, witajmy ludzi z ożywieniem i radością. To samo przez telefon: mówmy „hallo” tonem wyrażającym, jak bardzo się cieszymy z rozmowy. Niedawno byłem na przeczonym obiedzie. Pewna dama, która odziedziczyła sporą fortunę, usilnie starała się zrobić na współbiesiadników miłe wrażenie. Sobole, perły, diamenty — niczego nie żałowała, żeby swój cel osiągnąć, ale niestety nie postarała się zmienić wyrazu swej twarzy: promieniała z niej kwas i egoizm. A przecież suknia kobiety ani trochę nie jest ważniejsza od wyrazu jej twarzy, wie o tym dobrze każdy mężczyzna. Spędziłem raz popołudnie z Maurycym Chevalierem, i prawdę mówiąc, doznałem rozczarowania: ponury, milczący, był on nieskończenie daleki od pojęcia, które sobie o nim wytworzyłem — dokąd się nie uśmiechnął. Wówczas istne słońce przedarło się przez chmury... Gdyby nie cudotwórca ów uśmiech, Maurycy Chevalier byłby do dziś dnia skromnym stolarzem meblowym, jak jego ojciec i bracia, jestem tego pewien.

Ze się taki uśmiech opłaca nawet na rynku roboczym, widać z faktu, iż prawie każdy wielki magazyn woli raczej pracownicę, która żadnych szkół nie kończyła, niż doktora filozofii z nosem na kwintę i miną od siedmiu boleści. Przewodniczący Rady Nadzorczej pewnego wielkiego concernu gumowego zwierzył mi się, że jego zdaniem człowiek rzadko ma powodzenie w fachu, który go nie bawi. Przemysłowiec ów zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do starych przysłów, które na różne sposoby powiadają nam, że tylko ciężka praca da nam klucz magiczny do skarbow fortuny. „Znałem ludzi — mawiał nieraz — którzy mieli duże powodzenie po prostu dlatego, że prowadzenie danego interesu uważali za pyszną zabawę. Z chwilą, kiedy stawało się to dla nich tylko pracą, mudzili się, tracili radość życia, no i — bankrutowali. Trzeba spotkanie z ludźmi uważać za rozrywkę, jeśli się chce, aby i ich także spotkanie z nami bawiło.”

Nie masz, Czytelniku drogi, żadnej, ale to żadnej ochoty uśmiechać się? Czy tak? No więc w takim razie rób ćwiczenia, usługuj uśmiechać się, kiedy jesteś sam, ostatecznie usługuj choćby gwizdać czy nucić coś wesołego, zachowuj

W nr 109 „Przekroju” zamieściliśmy fragment niezmiernie popularnej książki Dale Carnegie’go, przełożony i nadesłany nam przez K. Illakowiczównę. Książka ta zawiera ujęte w dowcipną formę przepisy, jak należy żyć, żeby osiągnąć powodzenie, być szczęśliwym i lubianym. Dziś drukujemy dalszy fragment cennych dla każdego wskazówek amerykańskiego pisarza.

się tak, jakbyś był szczęśliwy, a dobry humor niechybnie do ciebie wróci. William James powiada: „Najlepszą i najrozsądniejszą drogą do radości jest tak czynić i tak mówić, jakbyś radość już w nas był.”

A zresztą szczęście nie zależy od tego, kim się jest, gdzie się przebywa, ani co się robi, ale od tego, co się samemu o tym sądzi. „Nic nie jest przykre, ani przyjemne”, powiada Szekspir. „To myślenie nasze czyni każdą rzecz naszym szczęściem lub nieszczęściem”. A Abraham Lincoln zauważył kiedyś, że ludzie są po większej części na tyle szczęśliwi, na ile sobie postanowią nimi być. Starożytni mędrcy chińscy pozostawili ludzkości następujące mądre powiedzenie: „Człowiek bez uśmiechu nie powinien otwierać sklepu”.

Wreszcie, jeśli się ma przed sobą ludzi zbyt zmęczonych, lub zbyt smutnych na to, aby mogli się uśmiechnąć do nas, to przynajmniej my dajmy im uśmiech, bowiem nikt go bardziej nie potrzebuje od tych, którzy go sami już dać nie mogą.

Nie tylko jednak śmiech ma swoje znaczenie i swój magiczny urok; swego rodzaju czar zdaje się także tkwić dla ludzi w ich własnych nazwiskach. Niejeden mąż stanu zawdzięcza swą popularność i karierę zdolności zapamiętywania niezliczonej ilości nazwisk, a niejedno pierwszorzędne przedsiębiorstwo zrobiło kłapę po prostu dlatego, że maszynistka poprzekreślała na imiennych zaproszeniach nazwiska powołanych do wykonania tego przedsięwzięcia. Skąd na przykład pochodzi to fenomenalne powodzenie Andrzeja Carnegie’go, króla stalowego? — Miał pod sobą setki ludzi, którzy na stali znali się lepiej od niego, ale umiał dać sobie radę z ludźmi i to się stało źródłem jego bogactwa. A jakże wcześniej odkrył wagę, jaką ludzie przywiązują do swoich imion i nazwisk! Jako chłopak dziesięcioletni, miał króliczkę, która obdarzyła go mnóstwem królicząt. Nie mając ich czym karmić, wpadł na świetny pomysł: powiedział okolicznym chłopakom, że jeśli zbierają mu dosyć koniczyzny i szałaty dla króliczków, to ponazywa je ich imionami. Czar poskutkował, króliki rosły jak na drożdżach, a Andrzej Carnegie nigdy nie zapominał owego doświadczenia. Oto, jak mu się ono przydało już w dorosłych latach:

Chodziło o sprzedaż szyn kolei Pensylwańskiej. Prezesem Towarzystwa był wówczas J. Edgar Thomson. Wybudował wtedy Carnegie olbrzymią fabrykę w Pittsburgu i nazwał ją fabryką stali „imienia Edgara Thomsona”. No, i jak sądził Czytelniku, dokąd udał się prezes Thomson po szyny dla swojej kolei? Do X-a? Do Y-ka? Oczywiście, że nie! Poszedł, jak w tym do fabryki swego imienia. W innym znów okresie Andrzej Carnegie i Jerzy Pullman wiedli wielką wojnę o przewagę w dziedzinie

budowy sleepingów, starając się pozyskać, każdy dla swego towarzystwa, klienta w osobie kolei Union Pacific. Wówczas w samą porę przypomniały się wielkiemu businessmanowi króliki z lat dziecińczych. A właśnie walka była u zenitu: przeciwnicy szkodzili jeden drugiemu jak mogli, obniżając ceny i niszcząc własne szanse zarobku na równi z szansami przeciwnika. Rzekł tedy Andrzej Carnegie do Jerzego Pullmana, spotkawszy go pewnego pięknego wieczoru w hallu jednego z hoteli: „Dobry wieczór, mister Pullman. Czy nie wydaje się panu, że zachowujemy się obaj, jak para osłów?” — „Co pan masz na myśli?” — zadziwił się tamten. Wówczas Andrzej Carnegie zaproponował przeciwnikowi połączenie obu towarzystw konkurencyjnych w jedno. Pullman słuchał, ale nie był jeszcze całkiem przekonany. Wreszcie zapytał: „No, a jak by się nazywało towarzystwo?” — „Oczywiście, że nazywałoby się towarzystwem Wagonów Pullmanowskich”, odparł rażno król stalowy. Pullman rozpozgodził się i zaprosił współzawodnika do swego apartamentu, a tam z rozmowy wyłoniła się transakcja pomnikowa w dziejach przemysłu.

Wielki Paderewski pielegnował poczucie godności u murzyna kucharza wagonu specjalnego, którego pianista zawsze używał. Zwracał się do kucharza niezmiennie jako do pana Coopera. Co najmniej piętnaście razy Paderewski objeżdżał całe Stany Zjednoczone Ameryki od brzegu do brzegu, dając koncerty w obecności rozszalałych z uwielbienia tłumów i za każdym razem kucharz przygotowywał dlań posiłek nocny, pokoncertowy. Nigdy nie mówił do swego karmiciela „George”, jak to zwykli czynić Amerykanie, lecz z kurtuazją starego kontynentu mówił doń „Panie Cooper” — i pan Cooper kochał go za to bardzo.

Niedawno zdarzyło mi się być zaproszonym na partię brydża. Muszę wyznać, że w brydża grać nie umiem. Znalazła się też na tym wieczorze pewna blondynka, również nie grająca w karty. Powiedziałano jej, że jestem byłym impresario pewnej znakomitości filmowej, która przerzuciła się potem do innego fachu; że wiele zdarzyło mi się podróżyć po całej Europie, toteż blondynka przywołała mnie do siebie i rzekła z czarującym uśmiechem: „Ach, panie Carnegie, marzę

o tym, żeby mi pan opowiedział o tych wszystkich cudownych miejscowościach świata, które pan zwiedził!” Przysiadłem się do niej na kanapkę, a ona wówczas napomknęła, że oboje z mężem niedawno powrócili z polowania na grubego zwierzna w Afryce. „Afryka! — wykrzyknąłem — kraj moich marzeń. Jakież to pasjonujące! Nigdy nie udało mi się dojechać dalej niż do Algieru. Jakże pani zazdrości! Niech mi pani opowie coś o Afryce”. To, co rzekłem, wystarczyło na następne trzy kwadranse; rozmówczyni moja już mnie więcej nie pytała o to, co widział i słyszał. Potrzebny jej byłam tylko jako zastuchany odbiorca jej prztyków.

Największy choleryk, najostrzejszy chroniczny krytyk nie oprze się sympatyzującemu z nim słuchaczowi. Dajcie tym ludziom wygadać się, a połowa zła ich opuści i zmiękną w oczach. Jak zrobił karierę jeden z największych wydawców amerykańskich? — Jako mały holenderski emigrant, Edward Bok mył za piętnaście centów tygodniowo, w godzinach pozaszkolnych, okna po piekarniach swego miasteczka, a resztę wolnego czasu spędzał na zbieraniu po ulicach kawałków węgla na opał dla ubożuchnej swej rodziny. Kiedy miał lat trzynaście, opuścił szkołę i dostał miejsce chłopaka do posyłek w „Western Union”; tam zaoszczędził ze swej sześciogodzinowej pensyjki tyle, że mógł sobie kupić encyklopedię znanych nazwisk amerykańskich. Wówczas zrobił rzecz niebywałą: po przeczytaniu życiorysów szeregu znakomitości, — porożyszywał do nich listy, prosząc o dodatkowe informacje o ich dzieciństwie... Oto był urodzony słuchacz! Zachęcał znakomitych ludzi do opowiadania o sobie. Napisał do generała Carfielda, który wówczas kandydował na prezydenta, zapytując, czy prawdą jest jakoby w dzieciństwie holał on barki po kanałach — i generał odpisał mu szczegółowo. Napisał do generała Granta o szczególnej pewnej bitwie i generał Grant przysłał mu mapę bitwy osobiście przez siebie narysowaną, a potem zaprosił czterastoletniego malca na obiad i gadał z nim o sobie przez cały wieczór. Wkrótce ten chłopak do posyłek wymienił listy z wieloma słynnymi osobistościami, z Longfellowem, z panią Abrahamową Lincolnową, z Jeffersonem Davisem, słynnym prezydentem Stanów Skonfederowanych z czasów wojny secesyjnej i nie tylko korespondował z owym słynnymi ludźmi, ale w następstwie listów odwiedzał ich osobiście. To dało mu zasób pewności siebie i te ambicje, z których już później nigdy nie skwitował w życiu.

Umiejętność słuchania drugich, a nie tylko własnego głosu, oto jedna więcej tajemnica powodzenia ludzkiego!

Droga Pani,

za pośrednictwem swej przyjaciółki dała nam Pani znać, że pragnie Pani wrócić z Rumunii do Polski, ale przedtem chciałaby mieć Pani pewność że zdobędzie tu jakąś posadę. O tym Pani życzeniu poinformowaliśmy Czytelników w nr 118 „Przekroju” i w odpowiedzi otrzymaliśmy list od pewnego adwokata, który proponuje Pani aż dwie posady do wyboru. List ten wysyłamy do Cluj pocztą lotniczą. — Tak więc, droga Pani Kazimiero, będzie Pani na pewno miała z czego żyć w kraju, nawet gdyby Pani uparła się, żeby nie pisać wierszy, tylko być pielegniarką, lub maszynistką.

Red.

— Widzisz, co by mi kupił Psztycki na twoim miejscu — rzekła mecenasowa Ryńska, wskazując mężowi kostium plażowy cęploty, model Domu Welny w Gdyni (u dołu), który uzyskał I nagrodę na rewii urządzonej przez Wydział Kulturalno-Oświatowy Sp. Wyd. „Czytelnik” w Grand Hotelu w Sopocie — a ty co?

MOTTO:

„Rewia mody to najlepsza sposobność pokazania mężowi tego wszystkiego na co byłoby nas stać, mając innego męża” (Mecenasowa Ryńska — WYBÓR PISM). Poniżej przytaczamy kilka scen ze „Szkoły Mężów”, odegranych z okazji ostatnich rewii mody

— Nie chcesz być pod pantoflem? — zapytała drogiego małżonka doktorowa W. — w takim razie kup mi obuwie plażowe z pracowni OM-TUR w Sopocie (u dołu), a znajdziesz się wkrótce pod eleganckim sandałem

— Jeśli już mnie wpędzasz do grobu — rzekła na wyż. wsp. rewii w Sopocie pewna dama, której mąż odmówił kupna 18-ku pod rząd toalet — to pochowaj mnie chociaż w kostiumie z imy „Perlon” (u dołu), który odznacza się tak subtelną elegancją i niezłomnym urokiem, że można go użyć do kąpiel w Styksie



KONKURS DZIAŁU M O D Y

Nagrodę 1000 zł. otrzymuje w bież. tygodniu P. W. KROMER w Bytomiu

Kostium z flaneli (60%) w paski, krojem męskiej marynarki, bluzka z wykładanym kołnierzykiem, mały kapelusz typu stylizowanego beretu



LISTY z FIOŁKIEM

„Tygodnika PRZEKRÓJ”

z p. K. J. Gaczmajski

Szanowny Panie Redaktorze!

KONIEC LIPY

Bo wiednie. Bo usycha.

I MÓWIĄC SŁOWY MOJEJ ŻONY, PATRZĘ W TE RZECZY [PRZERAŻONY.]

Bo już doprawdy nie wiem, co będzie dalej z naszą Kulturą przez duże, Panie Redaktorze, K. Ja na zatłuszczonym „Przekroju” wytłuszczonym drukiem pytam się,

CO BĘDZIE DALEJ.

Co, mówię, będzie dalej jeżeli nagle pewnego dnia załamię się u nas ta cudna Kultura (przez duże „K”) dla wtajemniczonych adoratorów, a zacznie się może nieporadnie, może z hopsablami, ale rzeczywiście, something real, kultura przez małe k, o taka sobie kultura polskich nieszlacheckich mas ludowych? Kto i po co będzie wtedy nadmiernie komplikował i problematyzował i estetyzował, jeżeli, paniebdziku, rynek zażąda nie torcików intelektualnych, ale zwyczajnego, pożywnego, strawnego, kulturowego chleba?

Toć to po prostu włosy stają pod cylindrem na głowie i kolanka trzęsą się, proszę Pana Redaktora, o, tak! Albowiem ta cudna, zyguntowsko-jagiellońska lipa zaczyna poważnie podsychać. Mianowicie: W malarstwie fu-żeron, wyabstrahowana staluga i trzy jabłuszka na krzyż wykuszają się. Oczywiście n. b., że wielkiego Pikassa nie wykuszają, ale, Panie Redaktorze, niech cholera weźmie pretensjonalnych imitatorów. Lipa. W muzyce (lipa) wyraźny nawrót do starogregorianizmu, zacnych wzorów wschodnio-słowiańskich i roboty antycznogreckiej z uwagi na ten fakt, że eurypidydes salamińskie były operami dla mas.

W literaturze, tym jednym z najpodrzedniejszych dopływów tej regulowanej rzeki, którą babcią moją, kuzynką samego prof. Bączyńskiego, nazywała ordynarnie kultura, zjawiska notujemy zielonym inkaustem podobne. Kończy się mianowicie Gide (lipa, czyli Paul Bourget na szatana), a zaczyna się Prus, Tolstoj, Szolochow, Czesi. Przed chwilą odebrałem telefon (mam osiem telefonów na ampirowym biurku ze sfinksami, wszystkie nieczynne, tylko sfinksy się, cholera, obruszają, uw. Aut.), że w Zakopanem Bujakowa, synowa Franciszka Bujaka, ukonstytuowała podejrzana „GRUPĘ UŻYTKOWCÓW”, którzy zbierają się potajemnie, czytają (horror!) „Przekrój” i eksportują do Szwecji i Ameryki różne wstrętne paciorki i tkaninki, z czego płyną różne wstrętne dewizy, za co niejeden sympatyczny frankofilitik może potem spokojnie wyjechać do Paryża. Żeby to ja tak mógł! Cóż, Panie Redaktorze, nie każdy, jak zauważył młody humorysta Kazimierz Mikulski, nie każdy może mieć świstawkę w tyłku, że wszyscy muszą się nachylać i świstać. Mnie świszczcie wiatr. I ta stara krakowska piosenka:

„A POD TĄ LIPKĄ, LIPKĄ [ZIELONĄ] MÓWILI SOBIE, ŻE SA [GENIALNI]...”

Nuty załączam.

Karakuliambro



KĄCIK FILATELISTYCZNY

NIEZREALIZOWANE PROJEKTY NA POLSKIE ZNACZKI

Załączona reprodukcja przedstawia cztery niezrealizowane projekty art. Miecz. Wątor-
skiego na znaczki pamiątkowe z okazji
„Oswobodzenia Krakowa” 19. I. 1945 r. Ry-
sunki tych projektów przedstawiają: 1 zł —
pomnik Kopernika w Bibliotece Jagielloń-
skiej, 2 zł — pomnik Kościuszki na Wawelu,
3 zł — Sukiennice i 5 zł — Wawel. Zaapro-
bowano wówczas projekty art. J. Wilczyka,
które wydane jako znaczki były w obiegu
od 16. IV. 1945 do 1. VII. 1946.

St. Mikstejn

FILATELIŚCI!

Nowy cennik filatelistyczny wysyła po nadesłaniu
znaczka

ZACHODNIA AGENCJA FILATELISTYCZNA

Katowice, ul. 3-go Maja 7
tel. 331-24

711

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

M. Bechczone-Rudnicka

W. Hahn

B. Hajdukiewicz

W. Horzyca

J. Iwaszkiewicz

J. Maśliński

J. N. Miller

L. H. Morstin

W. Natanson

T. Peiper

S. Powolocki

M. Rusinek

J. Słotwiński

S. Srebrny

E. Żytomirski

zamieścili swe prace w 100 stronicowym
numerze miesięcznika

Teatr

(Nr 4—5)

11 całostronicowych ilustracji

Numer podwójny w cenie 100 zł jest do
nabycia we wszystkich księgarniach i kio-
skach na terenie całej Polski

724

SPORT



Nie pomogły obozy treningowe, troskliwy dobór
reprezentantów i zarozumiałe przesadzanie wy-
niku. Renomowana jedenastka polska zesza-
ła z boiska pokonana zaskoczeniem w st. 1:2 przez
skromnych i ambitnych Rumunów. Może wresz-
cie przestaniemy wynosić pod niebiosa nasze
krajowe znakomitości i rozejrzemy się, jak pra-
cują nad sobą inni. — Na zdjęciu: obrońca ru-
muński likwiduje przebieg naszych napastników

SŁOWO O PEDALACH

Wprzeciwieństwie do hałaśliwych i wielce szko-
dliwych moto-rowerów, tzw. „setek” — zwy-
kły rower jest sprzętem wręcz sielskim. Dalekie
wycieczki na kółkach we dwoje należą do naj-
milszych wspomnień na resztę życia. Zapamię-
tały cyklista ma zazwyczaj świetnie wyrobione
mięśnie nóg, znakomity zmysł równowagi, moc-
ne, energiczne dłonie, wczesne zrytali i postę-
pującą krzywą kręgosłupa. Dlatego kierow-
nica przy spacerowej jeździe powinna być za-
krecona do góry, a siodełko opuszczone nisko,
żeby nie pochylać się nadmiernie. Co do wy-
gody — najlepsze są rowery z krótką ramą i
oponami — wyrażając się fachowo — półbalo-
nowymi. Na długie tury względnie wyścigi uży-
wa się maszyny smukłej jak chart, o dużej śred-
nicy koła i lekkiej aluminiowej konstrukcji.
Prócz tego egzystują jeszcze tzw. tandemy, czyli
rowery o podwójnych kierownicach, siodełkach
i pedalach. Para właścicieli tandemu musi być
jednakowoż idealnie zgrana, bo zdarzyć się mo-
że, że ten na przednim siedzeniu wybiera drogę
w prawo, towarzysz zaś jego protestuje i kie-
ruje w lewo. Wtedy następuje karambol, awan-
tura, doznana nienawście i podział tandemu na
dwie równe, nieprzydatne do niczego części.

Rower, odpowiednio zastosowany, może u-
sprawić i unieść życie, ale od czegoś przece-
ż wielką część ludzkości ma wrodzone zamiło-
wanie do męczarni? Ta właśnie część wy-
myśliła kolarskie biegi okrężne dookoła całych
krajów np. „Tour de France”, które poza czy-
sto sportową ambicją pierwszeństwa, nie przy-
sparzają zawodnikom zdrowia i nie dają wy-
tchnienia, o co przeceż głównie w sporcie cho-
dzi. Dzięki kilku tysiącom kilometrów, przeby-
tym w nierzadym pozycji na siodełku, w sple-
cie, ulewach i pyle — uczestnik wyścigu może
co najwyżej wcześniej niż kto inny nabawić się
wady serca. Chociaż, być może trochę przesa-
dzam w tym wszystkim... Top.

Katowice: Człowiek lekkotratci amerykańscy,
biorący udział w międzynarodowym meczu
Siask—Łódź, uzyskali szereg znakomych wy-
ników. M. in. 100 m.: Houden i Lawler po 16,4
sek.; rzut dyskiem: Fitch 53,33 m.; skok wzwyż:
Morcon 1,94 m.; 110 m. płotki: Simons 14,9 sek.—
Kraków: Spotkanie Cracovia—AKS wygrali za-
służenie gospodarze w st. 6:1 — niestety mecz
zakochczył się przykrym zgrzytem. — Paryż:
Uczestnicząca w mistrzostwach tenisowych Fran-
cji Jadwiga Jędrzejowska doszła do finału w
grze mieszanej wraz z swym partnerem Rumu-
nem Carallulis.

Zębny czyści najlepiej

PASTA

IDIENS

Warszawskiego Laboratorium
Chemicznego Sp. Ak.

Do nabycia we wszystkich większych
perfumeriach i składach aptecznych

638

TANATOL

zabija pluskwy i robactwo
ŻĄDĄC WSZĘDZIE
PROSZEK — PŁYN

631

Jednakowo dobre
OD ROKU
1910
BUDYNIE
PRZYPRAWY do CIAST
ZUPY-BULION
STROJWAS

„WIR” HURTOWNIA
KOSMETYCZNO-MYDLARSKA

Warszawa, Al. Jerozolimskie 27

634

REDAGUJE ZESPÓŁ REDAKCJA: KRAKÓW, PIŁSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54
WYDAWCA: SPÓŁDZ. * RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-38 *
WYD. „CZYTELNIK” ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIEŁOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

CZYTELNIK

WESOŁE

Na upały i na deszcz nadaje się znakomicie komedia amerykańska „Miłość na lekarstwo” z Charles Boyerem w roli amerykańskiego dramaturga i Margaret Sullavan w roli zbyt nowoczesnej lekarki. Jeśli tylko widz cierpliwie przeczeka pierwszy nudny i banalny kwadrans filmu — zostanie nagrodzony nie tylko porcją wesołości, ale ponadto opuści salę kina bogatszy o jedną więcej maksymę życiową: należy zawsze w stosownym momencie pociągnąć za „psychologiczny cyngiel”. Wesołej zabawy!

Koź.

POTWORNE



Wesoły pensjonat, to szwedzka komedia muzyczna — szmira na najniższym, najbardziej kompromitującym poziomie, w której zastosowano humor modny w filmie 20 lat temu, a wyrażający się kopaniem się po pośladkach, biciem po twarzach, przewracaniem itd.. Technika zdjęć i dźwięk — na poziomie najstarszych przedwojennych filmów polskich. Osobną cechą filmu jest jego „pikantność”, będąca po prostu najordynarniejszą pornografią. Szkoda, że cenzura nie zadba, by nie dopuszczać na ekrany podobnie demoralizujących i deprawujących smak obrazów. — Powyższe nie ma na celu urażenia Szwecji, cieszącej się w naszym kraju wielką sympatią i szacunkiem. Byłoby jednak lepiej, gdyby Szwedzi dali sobie spokój z humorem i porzucili na kręceniu — co potrafią — doskonałych filmów psychologicznych, w rodzaju „Skandalu”.

JYP.

OTELLO

Kilka dni temu znowu poszedłem na „Otello”, wystawionego przez Teatr Stary w Krakowie. Chciałem jeszcze raz zobaczyć, jak aktor Woźnik nieporównanie masywnie dusi Desdemone, więc zaszedłem tylko na akt piąty, na sam cy-mes. Była przerwa kiedy wchodziłem na salę i te cztery osoby, które nie przyszły do teatru za bezpłatnymi biletami, piły jeszcze kawy przy bufecie. — Usiadłem obok małżeństwa, które od razu bardzo mi się spodobało. Ona prezentowała się przyjemnie demokratycznie: była szeroką masą w całym tego słowa znaczeniu, miała pelerynę z lojalnych lisów i czerwoną różę, przypiętą na przedświadczeniu prywatnym. On był niezmierznie chudy, z czego należało wnosić, że nie zalega z podatkami.

Prowadzili ożywioną rozmowę na temat przedstawienia. Podobno im się, choć mieli różne wątpliwości. Nie byli pewni miłanowicie, czy przez senatorów w pierwszym akcie należy rozumieć członków Miejskiej Komisji Kultury i Sztuki i czy Jago był w konspiracji i jest już po ujawnieniu, czy też konspiruje bez ujawnienia i należy oczekiwać jego aresztowania? Zgadzałem się jedynie co do tego, że Otello z pewnością jest oficerem wojennym bez matyry i teraz będzie ją musiał składać, jako eksternista. — Zaczynali właśnie omawiać nieprzychylnie moralność Desdemony, kiedy światło jęto wygaszać, po czym ułoniła się kurtyna.

Na scenie sytuacja była groźna. Wprawdzie żaden trup jeszcze nie leżał, ale wszystkie już wisiały w powietrzu i Jago, niebaczny na młniony termin amnestii, kontynuował swą podziemną robotę.

„Stań tu za stupem; wnet [przechodzić będzie; Wyjm rapir, dźwierz go krzepko [i włóż gracko”.

Tak dyrygował Rodrygiem, więc zaczynałem się przygotowywać na najgorsze, gdy dama w lisach zwróciła się do męża:

— A propos. Czy przekreślił klucz w zatrzasku?

— Przekreśliłem, Zosiu.

Bardzo to nas wszystkich uspokoiło, tylko Jago nie chciał się uspokoić. Wręcz przeciwnie.

Był coraz bardziej cyniczny i zbrodniczy.

„Potarłem — syczał — ten [świerzb młody do żywego; Oto się i jątzy. Czy on [sprzątnie Kassya...”

Moja sąsiadka w lisach poruszyła się gwałtownie.

— A ja zapomniałam — mruknęła — powiedzieć Kasl, żeby przyszedł jutro do sprzątan... — No, to przełożysz na pojutrze!

— Tak ci się zdaje, Władziu... Przełoża jednak widocznie, bo zamilkła, podczas gdy na scenie zaczęli się wszyscy mordować i wszedł Otello, który podczas przerwy nie dogadał się z żoną i miał i w tym akcie dużo do niej pretekst.

„Pupko ubóświan! — zaczął [wymyślać jej —

Już mnie nie złudzisz swymi [ponętami;

Splamione łóż sprostna krew [twa splam!

Żona Władzia poczuła się tym dotknięta.

— To świnia! — obruszyła się. — Zebry tak się wyraża o kobiecie!...

Tymczasem jednak murzyn pobiegł do sypialni wymyślać żonie dalej. Ta sypialnia bardzo się wszystkim spodobała.

— Cie, cie... — wydziała Zosia — ciekawa jestem, jakie on też musiał mieć chody, żeby dostać w przydziale taki pokój.

Przed awanturą Otello zaczął całować żonę i trzeba było teraz uważnie patrzeć, bo na

scenie było ciemnaśno. Nawet ta Desdemona nie bardzo widziała, kto ją całuje, więc dla pewności zapytała:

„Kto tu?”
Zosia naturalnie nie mogła się to spodobać. Wzruszyła ramionami i rzuciła słuszną uwagę: — Zebry wyrabiali czterdziestoświećówki, a nie tylko piętnastki, to by takich skandali nie było.

Ale tymczasem u Otelłów królowo się na gorsze sprawy. Murzyn z Desdemoną zaczęli sobie dogadywać rozmaitymi słowami, aż w końcu Desdemona nie wytrzymała nerwowo i krzyknęła do męża:

„Cóż masz przeciwko mnie?”

[mów].

A on jej na to:

„Owaj chustkę. Którą ci dałem, a którąm tak [cenil,

Dałaś Kassyowi!”

A Zosia na to:

— Bo to wszystko przez kartki! Zebry facet, zwłazsza woj-skowy, mógł sobie kupić za pensję dość bielizny, to by żonie nie robił awantur o głupią chustkę!...

Zaraz potem zaczęły się dziać takie okropności na scenie, że i Zosia i Władek umilkli. Najpierw Woźnik uduślił żonę, następnie inni zaczęli się rżnąć, tak że w końcu były dwie nieboszczki gotowe do pochówku i ranni czekający na pogotowie. — Kiedy już wszyscy myśleli, że koniec i chcieć iść do szatni, to jeszcze sam Woźnik zrobił świnstwo, wyciągnął skądś bagniet, którego nie zdał po demobilizacji i nadział się na ten bagniet. A takiej był sity człowiek, że przed skonaniem — choć dzurawy — zdążył powiedzieć wcale głośno do nieboszczki małżonki:

„Jak przed zbiciem całowałem [ciebie,

Tak niech umieram, sam [zabijesz siebie”.

Dopiero wtedy zapalono światła na widowni.

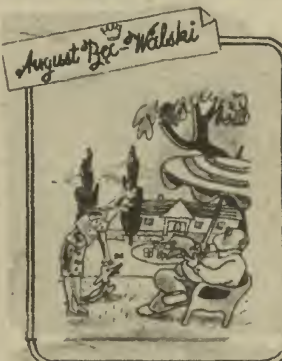
Spojrzałem na Zosię. Była cała splakana ze wzruszenia i ledwo mogła mówić, kiedy się zwróciła do męża:

— Widziałś Władziu! Inni mężczyźni i w godzinie śmierci tylko o całowaniu żon myśli. A ty co? Po biurze muszę ciebie gonić, żebyś maszynistek nie miętosił.

Spojrzałem na Władzia. Poderwał się i wrzasnął do żony:

— Ty Komisjo Specjalna!

JERZY WALDORFF



— Jak się chowa pański Re-

aksik, panie Augustcie?

— On się nie chowa, on się ujawnił.

ZIOŁA „CHOLEKINAZA” H. Niemojewskiego

stosuje się przy chorobach wątroby, kamieniach żółciowych, katarze żołądka i kiszek, uporczywych zaparciach, złej przemianie materii i artretyzmie. — Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych
LABOR. FIZJOL. — CHEM. „CHOLEKINAZA” WARSZAWA, MOKOTOWSKA 50

Olsniewać będziesz utwóca.
STOSUJĄC REGULARNIE
KREM ŻÓŁTOWY
najskuteczniejszy przeciw łmactkozkom
LABOR. PERE-KOSMET. KRYSZYNA WOLSKA
POD KIER. MGR. E. WOLSKIEGO WARSZAWA WSPÓLNA 25

Trilysin
Wypadanie włosów ustaje

Na słońce...
ENOLA
KOSMETYKI
KREMY
PUDRY
POMADKI
TUSZ
scala
LABORATORIUM KOSMETYCZNE • WARSZAWA
PROŻNA 14

Niekastapiona
PASTA DO ZĘBÓW
Koralowa
przełojniejszej jakości
LABOR. PERE-KOSMET. KRYSZYNA WOLSKA
POD KIER. MGR. E. WOLSKIEGO WARSZAWA UL. WSPÓLNA 25
Zadac unednie

MARTYNI
NAJŚLENNIEJSZY PSYCHOGRAFOLOG MARTYNI, darem jasnowidzenia nieomylnie przepowiedzi każde-mu jego wydarzenia życio-we. Określi dokładnie cha-rakter, kierunek zdolności, rady, przeznaczenie. Wedł-g obliczeń kabalistyk, imienia i nazwiska zestaw-i szczęśliwy numer losu Lo-terii Klasowej pod gwaran-cją wygranej. Napisać py-tania, datę urodzenia, zata-czyć 100.— zł zadatku. Od-powiedzi za zaliczeniem

J. POROWSKI • WARSZAWA
ŁÓDZ • NAPIÓRKOWSKIEGO 24 • TEL. 177-00

© digitalizacja: mbc.malopolska.pl



(J. Markow)
— To jest dywan ze skór wiel-
błądźch.



22 lipca uroczyste otworzono w Warszawie nowo odbudowa-
ny most kolejowy. Przed ro-
kiem w tym samym dniu otwo-
rzony został most Poniatow-
skiego. Co rok to most — o-
sądzają się warszawiancy i oczeku-
ją, że teraz to już tak będzie
zawsze. W kalendarzach druko-
wać się będzie z góry: 22 lipiec,
Święto Narodowe, otwarcie
mostu w Warszawie. Wobec te-
go, za lat 25 nie będzie u nas
Wisły, tylko będą same mosty.

Przed BGK, gdzie prócz ban-
ku mieści się Zarząd Miejski,
Rada Narodowa, PKO i pół ko-
py innych instytucji, w najru-
chliwszym punkcie miasta —
decyduje wysokiej dyrekcji
tramwajowej zlikwidowany zo-
stał przystanek tramwajowy.
Żeby nie psuć zbytnią wygodą
warszawskiej publiczności! —
Od dawna już można w War-
szawie zaobserwować, że MZK
uważa, iż nos jest dla tabakie-
ry, a nie na odwrót. Wobec te-
go, w imieniu opinii publicz-
nej pytamy: dla czyjej — u
diabła ciekłego! — wygodę
chodzą tramwaje i autobusy?
Tramwaje, które nie zatrzy-
mują się w ruchliwych punk-
tach i autobusy, które prze-
wożą pasażerów w homocapi-
tycznych dawkach? Dla świę-
tego spokoju MZK czy dla pu-
bliczności?

LAUREAT

Nagrodę „Odrodzenia” otrzy-
mał w tym roku znakomity
pisarz Jarosław Iwaszkiewicz,
redaktor „Nowin Literackich”.
Pytamy, jakie ma zamiary na
przyszłość, odpowiedział:
— Zamierzam namówić red.
Kuryluka do pisania, gdyż ina-
czej nie będę mógł zrewanżo-
wać mu się nagrodą „Nowin
Literackich”. Afi.

100.000 x D L A C Z E G O ?

W Paśmie Sudeckim sezon az
kipi! Z całej Polski ścigają
roje wczasowiczów, turystów i
harczerzy — chętnych poznać
uroki nowej Ojczyzny, nasyć się
zdrowotnymi jonów, ozo-
nów i napięć alkalicznych
szczytów. Wydawać by się po-
wino, iż turystów owi będą oc-
kiem w głowie zarówno władz
miejscowych jak i inicjatyw
prywatnej! — dyż każdy tury-
sta świadczony mu usługi opła-
ca w szeszczące monete. A tymczasem...

Tymczasem na centralnej sta-
cji w Jeleniej Górze i w po-
pularnej Szklarskiej Porębie
setki ludzi godzinami wyce-
kują w ogonkach do kas bile-
towych, wobec czego nagmin-
nie spóźniają się na pociąg.
W Jeleniej Górze są bowiem
czynne tylko dwie kasy, a w
Szklarskiej Porębie — jedna.
Oklenek jest znacznie więcej,
tylko Dyrekcja Kolejowa nie
uważa za stosowne przydzielić,
przynajmniej na okres sezonu
letniego, większej ilości odpo-
wiednich urzędników, tak iż
na stacji Szklarska Poręba
Górna (ta największa) pracuje
tylko dwóch urzędników i za-
wiadowca. Dlaczego?

Tymczasem na obu tych sta-
cjach, w Kowarach i na wielu
innych w tym rejonie nie ma
przechowalni bagażu, wskutek

ROZMAIŁOŚĆ

„MUSIKBERICHTERSTATTER“

W Krakowie, na dziedzińcu
Biblioteki Jagiellońskiej odbył
się niedawno koncert, poświę-
cony współczesnej muzyce pol-
skiej. W programie znalazły się
utwory Palestra, Malawskiego,
Regamey'a, Wiechowicza i Spi-
saka, a więc kompozytorów
czołowych i reprezentatywnych
dla naszej dzisiejszej twórczo-
ści w muzyce. — Muzyka jest
w tej chwili w Polsce gałęzią
sztuki, która przedstawia się
najlepiej na ogólnym tle sztuki
europejskiej. Zawdzięczać
to należy wielkiej postaci zmar-
łego przed 10-cio laty Karo-
la Szymanowskiego, który nie
tylko był jednym z najwybit-
niejszych twórców współczes-
ności, ale ponadto jednym z
najdosłowniejszych pedagogów. U-
fundował i pozostawił po sobie
szkołę, z której wyszli bezpo-
średnio, czy pośrednio nasi

dzisiejsi młodzi kompozytorzy.
Dzięki temu polska twórczość
muzyczna, do niedawna prawie
nieznana na światowym rynku,
dziś ma na tym rynku jedną
z pierwszych pozycji. Obywa-
jąc się co pewien czas między
narodowe festiwale muzyczne
sa nieprzerwanym pasmem
polskich sukcesów. Na prze-
strzeni ubiegłych dwóch lat od-
nieśliśmy takie sukcesy w Lon-
dynie, w Pradze, w Kopenha-
dze. Nasze współczesne kompo-
zycje wykonywane są b. często
w największych instytucjach
muzycznych ZSRR.

W związku ze wspomnianym
koncertem w Bibliotece Jagiel-
lońskiej ukazała się w „Trybu-
nie Robotniczej” przeczornie
niepodpisana przez autora re-
cenzja. Recenzent nie jest z kon-
certu zadowolony. Uważa nawet,
że koncert ten jest dowodem,

iż nadszedł czas, aby współcze-
sna polska muzyka zlikwidować
„Zagranicą — pisze recenzent
„Trybuny” — epidemia chorej
twórczości muzycznej smięła.
Tylko u nas jeszcze... w zamie-
ście jakowych i absurdalnych
polemik, w chaosie bezsensow-
nych tarć gubi się i zatracca
polska muzyka. — Te nieodpo-
wiedzialne jednostki, które sa-
me jeszcze nic nie stworzyły,
plwają na dawną twórczość... —
Z tępym maniactwem... z ca-
łym bagażem ignorancji i nie-
robia, te miernoty, ci epi-
goni, walczą u nas o „postęp”.
Zaraz, zaraz... „Chora twór-
czość”, „tepe maniactwo”,
„ignorancja i nierobstwo”...
Kto to tak lubi pisać? —
Aha! Już sobie przypominam.
To był znany krytyk niemiec-
ki, dzięki Bogu już nieżyjący.
Miał na imię: Adolf. J. W-ff.



(G. Miklaszewski)
— Wstydz się, ojciec, bić mnie,
który mógłbym być twoim sy-
nem!

SITUACJA W CHINACH

O ogromnych postępach, jakie
czyny przyjaźni polsko-chińskiej,
donosił w następujący sposób
„Dziennik Zachodni” nr 184:
Gen. Chen-Cheng zawiadomił
biuro UNRRA w Chinach, iż
gotów jest zaprzestać działań
wojennych, dla naprawy walu
nad Żółtą Rzeką przed wyje-
wem lipcowym. Jak komuniku-
ją, w 3 punktach działania zo-
stały już zawieszone. — W ra-
mach tych uroczystości odbę-
dzie się wielki koncert symfo-
niczny. Odegrana zostanie Sym-
fonia Woytowicza.

Nie wątpimy, iż w związku
z tym redaktor „Dziennika Za-
chodniego” zostanie odznaczony
przez gen. Chen-Cheng or-
derem Wielkiego Byka.
(Nadesłał: Działowski)

MAM KLACZ

Zywo redagowany od strony
erotycznej „Głos Wielkopolski”
zamieścił w nrze 189 nie-
zwycięznie wybredny inserat
matrymonialny:

Kawaler wżni się w gospo-
darstwo. Mam klacz zarodową
i gotówkę. Która z panien ma
dane do powyższego, proszę o
podanie.

Najlepsza byłaby zamożna
wdowa z ogierem, ale na wol-
nym rynku bardzo dziś o takie
trudno.

(Nadesłał: B. Stram)

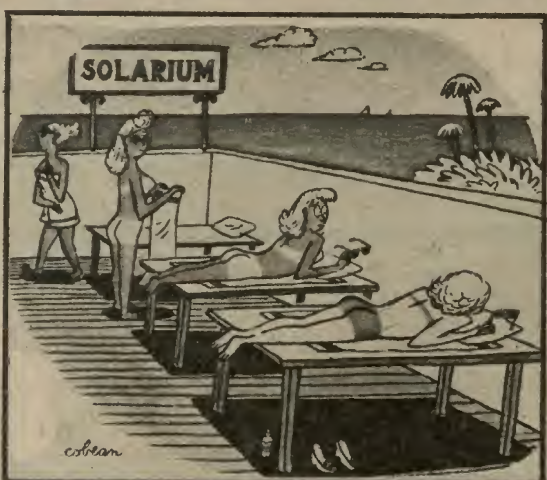
WODA WYŻEJ

Oburzające wiadomości przyno-
si „Trybuna Dolnośląska”
nr 162, w obszernym artykule
pt. NA KOLONII LETNIEJ W
OBORNICACH PANUJĄ SKAN-
DALICZNE STOSUNKI. Oto
fragment:

Dowiedziemy się, że dzieci
już dwa dni się nie myły
z powodu braku wody. Wyja-
tek stanowią te, które otrzy-
mały z domu paczkę żywności-
we i już je skonsumenty.

Dość w tym winy nauczycie-
li! Powinni byli nakłonić za-
możne dzieci, otrzymujące
wodę z domu, by podzieliły się
z dziećmi ubogimi, skazanymi
wyłącznie na wodę koloportowa-
ną na szpitalach „Trybuna
Dolnośląska”!

(Nadesłał: L. Przewłocka)



WĘCH

W „Trybunie Robotniczej”
nr 193 pewien zdemobilizowa-
ny skarży się na przeciwności
losu, ale raczej niesłusznie:

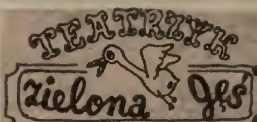
Z trudnością — pisze — do-
stałem się do „Społem”, jako
jeden z półnierz na 48 pracowników,
których w ogóle nie wa-
chali przodu.

Na ogół słusznie robili, bo-
wiem — jak nas uczy histo-
ria, — łatwiej jest przepchać
się przez życie, wachając wręcz
odwrotnie.

(Nadesłał: K. Justym)

SZMERY WYBRZEŻA

Wieżenie gdańskie już od
wielu miesięcy udziela przy-
tulku niebyległemu gościowi.
Jest nim Albert Foerster, ulu-
bieńce Hitlera, jeden z organi-
zatorów SS i b. „gauleiter”
Gdańska, którego kilkuletnie
rządy gdańscy Polacy dobrze
odczuli na swej skórze. O pra-
wo sądziła Foerstera ubiegają
się w tej chwili dwa miasta:
Gdańsk i Toruń. Gdańsk ma
uzasadnione prawo merytory-
czne, natomiast na korzyść To-
runia przemawiają względy na-
tury formalnej i technicznej.
Na razie informacje o więźniu
gdańskim są nader skąpe, gdyż
władze prokuratorskie nie
dopuszczyły dotąd do niego przed-
stawicieli prasy. Wiadomo o
nim tylko, że w więzieniu za-
chowuje się nadzwyczaj przy-
kładnie. Dozorcy nie mogą się
nachwalić jego karności, u-
przejmości i dobrego apetytu.
Obecny sposób bycia b. gau-
leitera, podobny zresztą lud-
zako do sposobu bycia wszyst-
kich innych przywódców hitle-
rskich, w analogicznej sy-
tuacji, dowodzi niebicie, że
aczkolwiek Niemcy nie zdali
egzaminu jako „narod
panów” — to przecież na „narod
niewolińników” nadają się
wprost idealnie. M. B.



ma zaszczyt przedstawić

„DWÓCH POLAKÓW

Z FIRMY „SERWANTES”

Stary Polak Don Kichot:

Jestem Polak Don Kichot —

hopsa hopsa hopsa —

mocarstwowy idłota,

ryms od sasa do lasa.

Młody Polak Sancho Pansa:

(do Publiczki i Starego

Polaka)

A jam młody jest Polak,

zdolny, żębaty szczeniaku,

ty masz w głowie wiatraczki,

ja tabliczkę mnożenia.

Stary Polak Don Kichot:

(ostatni raz z wóbeczaj

szturnuje wiatrak! dekla-

mując rapsoodycznie)

Ba, właśnie przez te rzeczy —

bez tabliczek, w wiatraczkach,

(nabija sobie guza i obala

się z koniem na Matkę-

Ziemię)

Jakiż Pan Bóg pocieszy

Don Kichota, co płacze?

(Departament Niebieski nie

odpowiada, Stary Polak Don

Kichot zęgną się krzyżem

świętym, szybko odczytuje

Trylogię i kona z okrzy-
kiem)

Prez ze sprzedawczykami!

Młody Polak Sancho Pansa:

(zwracając się do Dyrektora

Teatru Zielona Gęś)

Wynieść trupa, bo śmierdzi.

Kwiat wyrośnie się śmierci

wynieść, godnie pochować.

W kwiatkach będziemy

(budować.

(zwracając się z kulei do

Publiczności, z niskim u-
klonem)

Obertasa, Robota;

pedźmy Robocie Kota;

ciok! niech bzdury płożą,

nam — wspólnota-robota.

(hymn. Deflacja. Chopin)

Kurtyna

K. I. Gałczyński

Z ostatniej chwili (telefonem):

Premier Józef Cyrankiewicz pojął za żonę znakomitą i śliczną
aktorkę, Ninę Andryczównę. Jak nam donoszą z niepewnego
źródła, Premier miał poznać swą obecną małżonkę przez okładkę
„Przekroju” nr 61, na której figurowało zdjęcie Pani Cyrankie-
wiczowej. Przyjmujemy tę wiadomość bez nadmiernej dumy,
bowiem wiemy o tym, że nie w kraju nie dzieje się bez nas.

W związku z powyższym mitym zajęciem matrymonialnym,
składamy Młodej Parze jak najserdeczniejsze życzenia, obubie-
niemy zaś jedno specjalnie gorące: by odtąd nie grata ani roli
Desdemony, ani Judyty. Nie chcieliśmy bowiem ani tego,
żeby Premier udusił swoją żonę, ani żeby świetna aktorka
ścięła naszego Premiera.